ROK XXXV. Nr. 1.

s

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO



WYDAWNICTWO I NAKŁAD XX. MISJONARZY
KRAKÓW, STRADOM 4
1932.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata roczna 10 zł. (2 dol.) — Pojedynczy numer 3 złote.

Opłata na konto czekowe Nr. 150.142 ks. Król, Kraków.

Bardzo prosimy o łaskawe nadesłanie w jak najkrótszym czasie sprawozdań i kronik do Redakcji „Roczników O. Zgromadzeń“, Kraków, Stradom 4.

Drukarnia Związkowa w Krakowie.

ROK XXXV. Nr. 1.

ROCZNIKI
OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ
Św. WINCENTEGO a PAULO





WYDAWNICTWO I NAKŁAD XX. MISJONARZY
KRAKÓW, STRADOM 4
1932.



Drukarnia Związkowa w Krakowie, ul. Mikołajska L. 13.



Krótka wiadomość o duchu i celach Zgromadzenia XX. Misjonarzy.

Św. Wincenty a Paulo[1]).

Wielki ten święty, którego słusznie nazwano apostołem miłosierdzia, był widocznie powołany i pobudzony przez Boga do dwóch wielkich celów: do niesienia pomocy ubogim i chorym w ich potrzebach doczesnych i duchowych i do uświęcenia duchowieństwa.

Urodzony we Francji przy końcu XVI wieku, po długich i głębokich studjach teologicznych najpierw w Dax, a później na uniwersytetach w Saragosie i Tuluzie, został wyświęcony na kapłana w r. 1600.

Wkrótce potem dopuścił Bóg na niego ciężką próbę dwuletniej niewoli u Turków w Tunisie. Oswobodzony zrządzeniem Opatrzności, powrócił do Francji, gdzie został proboszczem w Clichy i Châtillon, oraz nauczycielem w domu rodziny de Gondy.

Całkowicie oddany niesieniu ulgi ubogiemu ludowi w jego nędzy duchowej i materjalnej, założył w tym celu najpierw Zgromadzenie XX. Misjonarzy, a następnie Zgromadzenie

---

[1]) X. bp. Bougaud: Św. Wincenty a Paulo (Wyd. polskie: X. Stanisław Konieczny C. M.).

X. Pius Pawellek, Misjonarz: Św. Wincenty a Paulo.

SS. Miłosierdzia, które dziś w liczbie około 40.000 rozrzucone są po całym świecie.

Nie mówiąc o powstającej wówczas herezji Jansenizmu, którą umiał ukazać we właściwem świetle i którą zwalczał zwycięsko, nie było, jak czytamy w brewjarzu rzymskim, żadnego rodzaju niedoli, którejby św. Wincenty nie był zaradził prawdziwie po ojcowsku.

Chrześcijanie będący w niewoli u Turków, podrzutki, młodzi ludzie na bezdrożach, dziewczęta narażone na niebezpieczeństwo, wygnane zakonnice, upadłe kobiety, galernicy, żołnierze na polu bitwy, chorzy cudzoziemcy, robotnicy niezdolni do pracy, niezliczeni żebracy, a nawet warjaci, znaleźli u św. Wincentego pomoc, która przetrwała do dzisiejszego dnia. Stworzył on kilka dzieł, których celem jest wyszukiwanie i wspomaganie nieszczęśliwych, a jednem z nich jest znane Stowarzyszenie Pań Miłosierdzia.

Wszystkie dzieła św. Wincentego odznaczają się potrójnem znamieniem: są one zawsze aktualne, obfite w owoce i nieśmiertelne.

Długie jego życie przepędzone tak pożytecznie, zostało uwieńczone świątobliwą śmiercią w dniu 27 września 1660.

Beatyfikowany przez Benedykta XIII, 13. sierpnia 1729, kanonizowany przez Klemensa XII 16. czerwca 1637, został ogłoszony przez Leona XIII 12. maja 1885 patronem wszystkich dzieł miłosierdzia istniejących w Kościele Bożym.

Zgromadzenie Misji.

Kongregacja Misji czyli Zgromadzenie XX. Misjonarzy, zostało założone przez św. Wincentego a Paulo w r. 1625 i zatwierdzone przez papieża Urbana VII w r. 1632. Rzec można, że jest ona podporą wszystkich dzieł, których ten wielki święty jest twórcą. Wszystkie dzieła zależą od tej Kongregacji i jej zawdzięczają swoją żywotność, tak jak gałęzie drzewa zawdzięczają pniu z którego wyrosły, soki utrzymujące je przy życiu i czyniące je owocodajnemi.

Kongregacja ta ma oprócz szukania większej chwały Bożej jeszcze wytknięty podwójny cel: pierwszym jest udoskonalenie duchowe jej członków, których działalność apostolska będzie tem wydatniejszą, im głębsze będzie ich życie wewnętrzne.

Następne dwa cele dotyczą zbawienia ubogich i uświęcania duchowieństwa.

Praca nad zbawieniem ubogich.

Synowie św. Wincentego a Paulo pracują nad zbawieniem ubogich przedewszystkiem przez misje i dlatego noszą miano XX. Misjonarzy. Nazwy tej nie wybrali sobie sami; została im nadaną samorzutnie przez tłumy, którym głosili Ewangelję, a przez Stolicę Apostolską zatwierdzoną.

Nie jest to jednak jedyny sposób ich pracy nad zbawieniem wiernych. Posługują się i to z powodzeniem jeszcze innym potężnym środkiem uświęcania, który św. Wincenty rozpowszechnił; są to ćwiczenia duchowne czyli rekolekcje. Nie zaniedbują także innych sposobności, by głosić słowo Boże, pouczać ubogich i doprowadzić ich do uczęszczania do Sakramentów św.

Z początku zwracali się XX. Misjonarze przedewszystkiem do ubogiej ludności wiejskiej, gdyż ta była najwięcej opuszczoną i potrzebującą opieki, lecz dziś, kiedy także w miastach znajdują tę tak drogą im klientelę, pracują oni i tam nad ubogimi, którzy zawsze będą cząstką ich dziedzictwa.

Uświęcenie duchowieństwa.

Dobro zdziałane pośród ludu przez misje trwałem jest o tyle, o ile podtrzymane jest gorliwością dobrych i świętych kapłanów. Św. Wincenty rozumiał to zawczasu i dlatego wiedziony przez Opatrzność, powołał do życia najpierw ćwiczenia dla kleryków przygotowujących się do święceń, potem konferencje i rekolekcje dla duchowieństwa, a wreszcie seminarja.

Kongregacja Misji otrzymała od niego i zachowuje jako drogą spuściznę te różne dzieła, którym oddaje się bezustannie i które wszystkie mają na celu pomaganie duchowieństwu w nabywaniu wiedzy i cnoty właściwej temu świętemu stanowi.

Misje XX. Misjonarzy.

I. CHRONOLOGICZNY RZUT OKA.

1. Święty Wincenty a Paulo i Misje.

Św. Wincenty a Paulo, który swojem wielkiem miłosierdziem ogarnął świat cały, lecz którego najbardziej pociągały najsroższe nieszczęścia i największa niedola, nie mógł pozostać nieczułym na myśl o tylu biednych niewiernych, którzy z powodu braku kapłanów żyli i umierali bez Boga. To też jednym z celów jakie wyznaczył swemu Zgromadzeniu są misje zagraniczne. Mawiał on do swoich księży: „O jakże szczęśliwym jest misjonarz, który nie zna innych granic dla swoich misyj i dla swojej pracy dla Chrystusa, jak cały szeroki świat, gdziekolwiek biją serca ludzkie. Dlaczegoż mamy zacieśniać się w jednym punkcie i stawiać sobie szranki, kiedy Bóg dał naszej gorliwości tak wielkie pole działania!“

On, który chciał, by kochano Boga „w pocie czoła i pracą rąk“, który mówił do swoich córek: „Co zależy na tem, że umrzemy wcześniej, bylebyśmy umierali z bronią w ręku“, nie opuścił żadnej sposobności, by wlać w serca swych synów i córek zamiłowanie do dalekich misyj.

Gdy ukazywały się dzieła o misjach wschodnich, chińskich lub innych, nabywał je natychmiast i kazał je czytać w refektarzu.

Jeżeli przejeżdżał przez Paryż duchowny, który niedawno przybył z dalekich krajów, św. Wincenty zwracał się do niego z prośbą o przemówienie do jego Zgromadzenia, aby przez to rzucić zasiew i rozbudzić ochotę do tego powołania apostolskiego.

Miał on prawdziwy kult dla wielkiego św. Franciszka Ksawerego i nie szczędził podziwu dla zakonów, które odzna-

czały się gorliwością w pracy nad zbawieniem dusz w krajach pogańskich. Czyż nie miał na myśli tych wielkich bojowników, gdy mówił do swoich księży: „Powinniśmy uważać siebie za nieudolnych pomocników tych godnych robotników (Jezuitów), za biednych prostaczków, którzy nie umiemy nic powiedzieć i którzy jesteśmy godni pogardy u wszystkich innych; za tych biednych małych zbierających pokłosie, którzy przychodzą po wielkich żniwiarzach, złożyć swoją garstkę kłosów obok ich obfitego żniwa“.

Lubił wlewać w ich serca święty ogień apostolstwa takiemi mniejwięcej słowami: „O gdybyśmy mieli iskrę tego świętego ognia, który rozpalał Serce Jezusa, czy pozostawalibyśmy z założonemi rękami, czy omieszkalibyśmy przyjść z pomocą tym, których wesprzeć możemy? — O z pewnością nie, bo prawdziwa miłość nie umie być bezczynną... Ci, którzy mają prawdziwą miłość w sercu, ukazują ją na zewnątrz; właściwością ognia jest świecić i ogrzewać; właściwością miłości jest udzielać się drugim“.

Wysyłał sam swoich księży do Berberji i na Madagaskar. Pragnął zrobić więcej, lecz warunki nie pozwalały mu na to.

2. Następcy świętego Wincentego.

Następca jego X. Alméras zdołał utrzymać te dwie misje. X. Jolly, trzeci superjor generalny, musiał opuścić Madagaskar w r. 1674. Lecz w r. 1712 XX. Misjonarze osiedlili się na wyspie Bourbon, a w r. 1722 na wyspie św. Maurycego.

W r. 1773 otrzymali znaczną część misyj OO. Jezuitów i zamieszkali w Konstantynopolu, Smyrnie, Naxis, Santorin, Salonikach, Damaszku, Alepo, Tripolisie, Antura, Pekinie i Goa.

W r. 1784 opuścili Goa, ażeby natomiast prowadzić seminarjum chińskie w Makao.

Źródła zaciągu świeżych sił zostały zatamowane przez wielką rewolucję i wiele misyj zaczęło szwankować. Lecz z początkiem XIX wieku ruch naprzód wzmógł się na nowo i nie ustał już więcej.

W r. 1825 XX. Misjonarze weszli do Stanów Zjednoczonych.

W r. 1819 do Brazylji.
W r. 1839 do Abisynji.
W r. 1851 do Persji.
W r. 1844 do Egiptu i Meksyku.
W r. 1851 do Chili.
W r. 1858 do Peru.
W r. 1859 do Argentyny.
W r. 1862 do Guatemali i na wyspy Filipińskie
W r. 1863 na Antyle.
W r. 1870 do Ekwadoru.
W r. 1877 do Kolumbji, Panamy i Costarica.
W r. 1880 do Paraguay.
W r. 1884 do Uruguay.
W r. 1885 do Australji.
W r. 1896 na Madagaskar.
W r. 1898 do S. Salvador.
W r. 1900 do Palestyny.
W r. 1905 do Boliwji.
W r. 1910 do Republiki Honduras.
W r. 1921 do Orisy (Indje angielskie).
W r. 1923 na wyspę Jawę.
W r. 1925 do Konga belgijskiego.
W r. 1929 Polska Prowincja rozpoczęła misję w Chinach.

II. MISJE W CHINACH.

1. Początek Misyj.

Pierwszym misjonarzem ze Zgromadzenia XX. Misjonarzy, który stanął na ziemi chińskiej, był X. Ludwik Antoni Appiani. Został on tam wysłany przez Propagandę w r. 1697, jako zastępca wizytatora apostolskiego. Towarzyszyło mu trzydziestu dwóch zakonników różnych reguł i trzech księży świeckich. Jeden z tych ostatnich został podczas podróży na prośbę swą przyjęty do Kongregacji Misji. Obydwaj osiedli w małej gminie chrześcijańskiej w Sutchuen.

W r. 1705 zażądał biskup Maillard de Tournon, legat i wizytator apostolski, przydzielenia mu X. Appiani'ego w charakterze sekretarza i tłumacza. Wkrótce został tenże ujęty przez satelitów cesarza; zakutego w kajdany odprowadzono do Pekinu. Zawleczony zpowrotem do Sutchuen został skazany na 40 kijów i dożywotnie wygnanie do północnej Tartarji. Dwa lata później skazano go na śmierc, lecz ułaskawiony przez cesarza, musiał iść do więzienia, w którem pozostał do r. 1726. Na prośbę papieża Benedykta XIII wypuszczono go na wolność po 19 latach i 9 miesiącach tam przebytych. Rozpoczął na nowo swoje życie apostolskie, lecz w r. 1732 został wypędzony wraz z wszystkimi innymi misjonarzami i umarł tego samego roku w Makao.

X. Muellener przeszedł także przez różne utrapienia. Wyrwany ze swej gminy chrześcijańskiej w r 1706 został przesłuchiwany 90 razy. Trzymano go najpierw w Canton, potem w Makao; dopiero w r. 1711 mógł powrócić do Sutchuen, gdzie w grudniu 1716 został konsekrowany na biskupa. Otrzymawszy do pomocy trzech misjonarzy, miał nadzieję nawrócenia całego Sutchuen, lecz jego współpracownicy powrócili do Europy po dwóch miesiącach pobytu w Makao. W r. 1742 śmierć położyła kres pracom apostolskim gorliwego dostojnika kościoła. W tym samym czasie przybył do Chin inny misjonarz X. Pedrini.

Jako utalentowany muzyk podobał się cesarzowi, który zatrzymał go przy sobie, gdy jednak X. Pedrini oświadczył się przeciwko chińskim rytom, został zakuty w kajdany i przepędził trzy lata w więzieniu.

2. XX. Misjonarze przejmują misje OO. Jezuitów.

Po śmierci dwóch księży chińskich X. Stefana Su i X. Pawła Sou w r. 1757, nie pozostał w Chinach ani jeden członek Kongregacji Misji. Okres tej nieobecności XX Misjonarzy w Chinach trwał 30 lat. Wówczas to z powodu zniesienia Towarzystwa Jezusowego było koniecznem, aby inne

Zgromadzenie objęło kierownictwo misyj, prowadzonych przez OO. Jezuitów.

X. Amiot, Jezuita z Pekinu, pisze w liście skierowanym do p. Bertin, ministra Stanu w Paryżu:

„Z misją w Pekinie rzecz ma się inaczej aniżeli z innemi misjami. W innych wystarczają: praca, pobożność i dobra wola. W Pekinie potrzeba tego wszystkiego i jeszcze czegoś więcej: trzeba wiedzy i zdolności, trzeba się starać przypodobać monarsze, trzeba się stać pożytecznym rządowi. Tylko pod temi warunkami pozwolą nam tu głosić Ewangelję. Tylko takie usługi, jakie oddaliśmy dotychczas zapomocą naszej wiedzy i naszej sztuki, mogą doprowadzić do tego, by Chińczycy znosili pomiędzy sobą obcych, zwłaszcza takich, którzy postawili sobie za cel zreformowanie ich obyczajów i obalenia przyjętego przez nich kultu. Gdyby usługi te zostały odjęte, wkrótce wszyscy misjonarze, tak ci ze stolicy, jak i z prowincji, bez żadnego wyjątku, zostaliby wygnani i religja chrześcijańska wyrugowana z tego najbardziej rozkwitłego Państwa Azji.

Nie można rozpocząć pracy misjonarskiej w Pekinie, nie będąc tam powołanym przez cesarza, a powołania tego nie otrzyma nikt, kto nie może poszczycić się kilku tytułami ogłaszającemi jakiś talent naukowy lub artystyczny. Jeżeli ci, którzy nas zastąpią, dostarczą misji w Pekinie pięć lub sześć osób, którym należeć się będą specjalne względy, to wszystko inne pójdzie łatwo; nie będą mieli więcej trudu jak z każdą inną misją. Będą tam mogli sprowadzić tylu misjonarzy, ile im się będzie podobało... chodzi tylko o to, by przy propozycji sprowadzenia ich nadać im ogólny tytuł matematyków".

Także X. Vaivre pisał w sprawozdaniu do ministra marynarki: „Tylko uczeni mogą spełnić wymagania rządu, a niestety nie wszyscy misjonarze zagraniczni są matematykami lub artystami. Trzeba przyznać, że nic nie jest im tak dalekiem jak różne gałęzie wiedzy, które nie odnoszą się wprost do nawracania ludów. Jeszcze gorszem jest to, że niema zgromadzeń uczonych prócz Benedyktynów, zakonników św. Maura

i Oratorjanów. Pierwsi nie nadają się do tej misji, drudzy nadawaliby się doskonale do misji w Pekinie, lecz czy byłoby możliwem pożycie Jezuitów razem z Oratorjanami? Tak więc zbadawszy wszystko sądzę, że z wszystkich zgromadzeń duchownych znanych w Państwie, Zgromadzenie XX. Misjonarzy jest jedynem, któremu można powierzyć misję w Pekinie. Zauważyłem już, że nie jest to zgromadzenie uczonych, lecz jest ono zanadto licznem, by nie znalazło się pomiędzy wszystkimi jego członkami kilku księży, zdolnych do czynności, o które chodzi, a bracia koadjutorzy wypełnią doskonale dział artystyczny".

X. Jaquier, superjor generalny, odmówił początkowo, lecz ustąpił naleganiom. Wybór jego padł na dwóch księży, i jednego brata, których zdolności zdawały się być wystarczającemi do pracy, jakiej od nich żądano. X. Raux zajmie się astronomją i geografją, X. Ghislain będzie uczył fizyki i matematyki, a brat Józef Paris będzie czynny jako zegarmistrz i mechanik.

W dniu 20 marca 1784 r. wsiedli na okręt w Brest, a dnia 1 września wylądowali w Canton, gdzie zatrzymali się do końca kwietnia 1785 r. z powodu prześladowania srożącego się w Chinach. Cesarz przyjął ich życzliwie i natychmiast rozpoczęli swoją nową pracę apostolską.

Misja francuska w Chinach, którą synowie św. Ignacego oddawali synom św. Wincentego, obejmowała gminy chrześcijańskie rozrzucone po kilku prowincjach Chin, a nawet Mongolji. Było to za wiele dla tak szczupłej liczby robotników, to też X. Raux założył czemprędzej seminarjum w Pekinie.

3. Organizacja Misyj.

Założywszy tę pierwszą placówkę, zwrócił się X. Raux w stronę Europy z prośbą o pomoc. Wezwanie jego zostało usłyszane. W r. 1788 i 1791 wyjechało do Chin pięciu Misjonarzy, między nimi ten, który miał zostać błogosławionym męczennikiem, X. Franciszek Regis Clet.

Niemożliwem jest opowiedzieć tu, czem było życie tych apostołów, odciętych od świata i jakby zagubionych w tem

olbrzymiem państwie. Trzebaby poświęcić całe tomy, aby opowiedzieć podróże częste, pełne niebezpieczeństw, nieustanne prześladowania, wyczerpujące prace, niebezpieczeństwa zagrażające życiu na każdym niemal kroku, siejbę mozolną, ale niosącą obfite owoce, zroszone niejednokrotnie krwią.

Błogosławiony Clet pisał do swego brata: „Przyjechałem zapóźno do Chin. Znikoma liczba misjonarzy w tem rozległem państwie nie pozwala mi w sumieniu mojem powrócić do Europy, gdyż jak mówi przysłowie: lepiej żeby ziemia była uprawiona przez osłów, aniżeli żeby miała leżeć odłogiem".

Bóg widocznie błogosławił pracom Misjonarzy, gdyż jak zobaczymy później w r. 1925 liczba chrześcijan w misjach Zgromadzenia XX. Misjonarzy dochodziła do 721.404.

Lecz obszerne terytorjum tworzące misję XX. Misjonarzy stopniowo malało. W r. 1839 Propaganda przydzieliła OO. Franciszkanom prowincję Hupé; w r. 1840 otrzymali OO. Jezuici Kiangnan i południowo-wschodnią część prowincji Tchely; a Ojcowie z Scheut Mongolję w r. 1865. W tym samym roku Honan został oddany misjonarzom z Medjolanu. Wreszcie w r. 1926 wikarjat Pekinu ponownie został rozdzielony i kler krajowy objął część odebraną XX. Misjonarzom.

Kilku Misjonarzy wsławiło Zgromadzenie przez swoje cnoty i swoje zdolności. X. Armand David członek korespondent Instytutu fr. odznaczył się przez swoje odkrycia w dziedzinie historji naturalnej. Zajmujące dzieła X. Huc i X. Gabet o Chinach napełniały zachwytem kilka pokoleń. Dwaj męczennicy Franciszek Regis Clet i Jan Gabryel Perboyre zostali ogłoszeni błogosławionymi przez Kościół św. Inni księża Misji cierpieli męki i poświęcili swoje życie dla sprawy Chrystusowej. Niektórzy pomarli w swoich więzieniach z powodu niedostatku jak Raymund Aubin (1795) i Andrzej Ly (1862). Inni zginęli porąbani, ścięci lub spaleni przez pogan jak Franciszek Chen (około 1825), Feliks Montels (1857), Klaudjusz Chevrier i Wincenty Ou (1870), Pascal d'Addosio, Juljusz Garrigues, Maurycy Doré i Piotr Nié (1900) Andrzej Tsu (1903),

Jan Marjan Lacruche (1906), Antoni Canduglia (1907). Inni wreszcie, jak Klaudjusz Chavanne (1900) i Ludwik Salavert (1906) umarli z powodu chorób wywołanych lub spotęgowanych przez prześladowanie.

4. Misjonarze portugalscy w Chinach.

Podczas gdy XX. Misjonarze narodowości francuskiej obejmowali spuściznę po OO. Jezuitach w Pekinie, XX. Misjonarze portugalscy zastępowali Jezuitów portugalskich w Makao i zakładali w dawnem kolegjum św. Józefa seminarjum, w którem przygotowywali młodych Chińczyków do stanu duchownego Drugi zakład znajdujący się w samym Pekinie został im powierzony w r. 1801. Z szeregów ich wybrał rząd portugalski kilku biskupów. Euzebjusz Lucjan Carvalho Gomes de Silva i Kajetan Pirès Pereyra zasiadali obydwaj na stolicy biskupiej w Nankin, pierwszy od r. 1789 do 1790, drugi od 1804 do 1838 r. Na czele biskupstwa w Makao stał Mikołaj Rodrygjusz Pereira de Borja w czasie od r. 1843 do 1845. Joachim de Souza Saraiva koadjutor biskupa Pekinu X. Govea, objął po nim djecezję 6 lipca 1808 r. Po nim (1818) djecezja Pekinu była prowadzoną przez innego członka Kongregacji Misji, biskupa Nankinu X. Pirès, a po śmierci tegoż (1838) przez jego konfratra X. Jana de França Bastro e Moura.

XX. Misjonarze portugalscy zastąpili także OO. Jezuitów w Goa. Lecz po rewolucji, która zniosła zakony, Portugalja przestała wysyłać misjonarzy na wschód. Dzieła upadały powoli z powodu braku ludzi i pieniędzy.

W r. 1921 portugalscy Księża Misji powrócili do Hindostanu i założyli w prowincji Orissa domy misyjne, które dotychczas przyniosły wiele owoców, a zapowiadają jeszcze obfitsze plony.

5. Stan obecny.

Po przeprowadzeniu przez Propagandę kilkaktotnie różnych podziałów, XX. Misjonarze posiadają obecnie:

Pięć wikarjatów apostolskich w Tchely.

Cztery wikarjaty apostolskie w Kiangsi.
Trzy wikarjaty apostolskie w Tchékiang.

Poniżej podane daty statystyczne z roku 1930—1931 świadczą o rozkwicie Misyj XX. Misjonarzy w Chinach:

Ludność pogańska	62,850.000
Liczba katolików	693.327
Liczba rezydencyj	327
XX. Misjonarze Europejczycy	196
„ „ krajowcy	113
Księża krajowcy	299
Seminarzystów małego Seminarjum	509
„ wielkiego Seminarjum	162
Sióstr Miłosierdzia europejskich	163
„ „ krajowych	218
Zakonnice europejskie	1.111
„ krajowe	427
Katechiści	1.049
Katechistki	637
Nauczyciele szkolni	1.532
Nauczycielki szkolne	1.069
Kościoły	301
Kaplice i oratorja	2.705
Szkoły parafjalne	1.294
Szkoły elementarne	893
Zakłady naukowe średnie	49
Zakłady dla katechumenów	1.043
Katechumeni	13.752
Szpitale i przytułki	36
Sierocińce	48
Sieroty	4.774
Chrztu św. udzielono młodym ludziom	13.752
Chrztu św. udzielono poganom in articulo mortis	4.827
Chrztu św. udzielono dzieciom pogańskim . . .	50.816
Chrztu św. udzielono dzieciom katolickim . . .	14.307

(Dokończenie nastąpi).



Wyjazd pierwszych Polskich Sióstr Miłosierdzia do Chin.

12/X. 1931.

Troska Ojca św. Piusa XI o dziedzinę misyjną przeniknęła cały Kościół. Potężny głos Stolicy Apostolskiej dotarł do każdej parafji, do każdego Zakonu i Zgromadzenia.

Zgromadzenie Księży Misjonarzy św. Wincentego a Paulo Prowincji Polskiej wczuło się głęboko w troskliwe wołanie Namiestnika Chrystusowego i oto Opatrzność Boża przed dwoma laty powierza mu prowadzenie Polskiej Misji w Chinach. Duch misyjny zatacza coraz szersze kręgi, powstaje myśl wysłania polskich Sióstr Miłosierdzia na tę placówkę misyjną — zrazu jako pogłoska, zczasem coraz bardziej zaczyna przybierać formę rzeczywistości.

Zapał misyjny ogarnia Zgromadzenie SS. Miłosierdzia; zgłaszają się ochotniczki, ofiarując swe siły na dalekie prace misyjne. A odkąd zostały nawiązane bliższe stosunki z misją w Szuntehfu po wyjeździe drugiej ekspedycji Księży Misjonarzy, odległość między Chinami a Polską zmniejszyła się niejako. Już z upragnieniem i pewną niecierpliwością oczekiwano zrealizowania projektu. W końcu maja rozeszła się wiadomość, że jeśli Bóg pozwoli, jeszcze w tym roku Siostry nasze udadzą się na wschód. Powołania misyjne rosły, mnożyły się z dniem każdym a zgłoszone ochotniczki śledziły bieg wypadków, oczekując decydującej chwili. — Nadeszła. W końcu września ogłoszono kandydatki i ustalono dzień wyjazdu. Snać inne były zamiary Opatrzności Bożej co do wyboru: niespodziewanie jedna z trzech wybranych Sióstr

zachorowała ciężko i miejsce jej zajęła inna. — „Nie śmiałam się modlić, aby się co stało, bym mimo nieuwzględnienia mej prośby mogła jechać, ale gdy się stało — dzięki Ci Panie, żeś spojrzał na mnie“ — mówiła Siostra świeżo wybrana na misję.

Ostatnie dwa tygodnie zeszły na bliższych przygotowaniach do podróży i gorących modłach na intencję Sióstr Misjonarek. Czas mijał szybko, nadeszły ostatnie dwa dni. Obie Rodziny św. Wincentego a Paulo oceniły doniosłość chwili, zrozumiały, że to sprawa wspólna i po raz pierwszy od czasu rozbioru Polski zjednoczyły się we wspólnem dziele. Przybył z Krakowa X. Józef Kryska, Wizytator XX. Misjonarzy, z Poznania X. Karol Michalski, Dyrektor SS. Miłosierdzia Prowincji Chełmińskiej, i X. Jęczmionka, Dyrektor Stow. Dzieci Marji tejże Prowincji; przyjechały S. Asystentka i S. Sekretarka Prowincji Krakowskiej.

Chcąc zapoznać szerszy ogół społeczeństwa z Polską Misją w Chinach urządzona została dnia 11 października w wigilję wyjazdu Siόstr, Akademja Misyjna w sali Zakładu Najśw. Marji Panny przy ul. Starej 2.

Akademję zaszczycili swą obecnością J. E. X. Kardynał Kakowski, XX. Biskupi Gall i bp. Szlagowski oraz prześwietna Kapituła. Oprócz przedstawicieli miejscowego duchowieństwa na Akademję przybył z Poznania X. Prałat Bajerowicz, Dyrektor Krajowy Dzieła Rozkrzewiania Wiary i Sodalicji św. Piotra Klawera. Przybyły delegacje Stow. Dz. Marji z Prowincji Warszawskiej oraz z Chełma na Pomorzu delegatka Stow. Dzieci Marji Prowincji Chełmińskiej i Koła Przyjaciół Polskiej Misji w Chinach p Tchórzewska.

Obszerna sala wypełniona była po brzegi publicznością, wśród której reprezentowane były różne organizacje katolickie, związki misyjne, oraz widać było tych wszystkich, którym sprawa Boża leży na sercu.

Zebranych gości powitał X. Konstanty Witaszek, Dyrektor Zgrom. SS. Miłosierdzia Prowincji Warszawskiej, temi słowy:

Eminencjo, — Najprzewielebniejsi Księża Biskupi, — Szanowni i Czcigodni Goście!

Mam zaszczyt powitać Waszą Eminencję i zarazem złożyć najgłębsze podziękowanie, że Eminencja zaszczycić raczył Swoją obecnością nasze zebranie i udzielić swego błogosławieństwa Siostrom, udającym się na misje do Chin. Mamy w tem nowy dowód ojcowskiego serca Waszej Eminencji dla Dzieci św. Wincentego.

Korzystam również ze sposobności, aby wyrazić wdzięczność Jego Ekscelencji Księdzu Biskupowi Wojsk Polskich za Jego wielką życzliwość dla SS. Mił. i długoletnią opiekę duchowną nad niemi. Wszak między temi Siostrami, które jadą do Chin jest także córka duchowna Waszej Ekscelencji.

Witam Waszą Ekscelencję X. Biskupa Sufragana i dziękuję najuprzejmiej. że raczył nas zaszczycić Swoją obecnością.

Witam Przew. X. Wizytatora XX. Misjonarzy z Krakowa, który zapoczątkował Polską Misję w Chinach i całą duszą jest jej oddany.

Witam Czcigodnego X. Prezesa Papieskiego Dzieła Rozkrzewiania Wiary z Poznania i serdeczne składam podziękowanie za życzliwość i pomoc okazywaną zawsze polskiej Misji w Chinach.

Witam serdecznie Panie ze Sekcji Misyjnej Koła Polek, Panów z Koła Misyjnego Sodalicji. Witam Studentki i Studentów Uniwersytetów Warszawskich z Koła Misyjnego, które tak wydatnie wspiera od początku naszą Polską Misję w Chinach.

Witam wszystkich Szanownych i Czcigodnych gości a zarazem wyrażam mą radość, że raczyli uświetnić swojem przybyciem tę naszą skromną akademję pożegnalną, urządzoną z okazji wyjazdu pierwszych polskich Sióstr Mił. na Misję do Chin.

Sam fakt wyjazdu 3-ch Sióstr Mił. z Polski do Chin, to rzecz niewielkiej wagi. lecz jest to akt wykraczający poza Zgr. SS. Mił. — to akt o charakterze ogólno katolickim, ogólno narodowym — i dlatego ośmieliło się Zgr. zaprosić Czcigodnych Gości na tę akademję pożegnalną.

Ojciec św. Pius XI wzywa do usilnej pracy na polu misyjnem. Wezwanie to rozkazem jest dla katolików. Wszystkie więc narody katolickie wyruszyły na ten zew Głowy Kościoła, niosąc światło wiary do narodów pogańskich. Wyruszyła i Polska. Nigdy nie brakowało Polaków w szeregach misjonarzy i misjonarek różnych narodowości na misjach zagranicznych, ale słusznie, aby Polska, odzyskawszy samodzielny byt narodowy wzięła bezpośredni udział w pracy koło nawracania pogan.

Lat temu tysiąc Polska przyjęła wiarę św. z rąk zachodu, przez tysiąc lat broniła tę wiarę nakładem pracy, mienia i krwi na obszernych rubieżach swego państwa, niosła światło wiary narodom osciennym, broniła jako przedmurze chrześcijaństwa przed zalewem półksiężyca i schizmy, a dziś idzie dalej i niesie światło wiary wraz z innymi na-

rodami katolickimi setkom miljonów pogan, pogrążonych jeszcze w błędach i ciemnościach pogańskich.

Kiedy więc dzisiaj Siostry Mił. z Polski idą do Chin, spełniają tylko najkardynalniejszy obowiązek, wyrażony w słowach Boskiego Zbawcy: „idźcie, nauczajcie wszystkie narody".

Praca nad nawróceniem niewiernych była najgorętszem pragnieniem św. Wincentego. Choć nieliczne jeszcze było jego Zgr. a już wysyła najlepszych swoich synów na misje do Madagaskaru, do Tunisu, do Algieru, a za św. Wincentym idą i jego następcy, którzy zwracali szczególniejszą uwagę na pogańskie Chiny. Już w 17 tym wieku widzimy tam Synów i Córki św. Wincentego obok innych Zgromadzeń zakonnych. Dziś 13 wikarjatów apostolskich w Chinach jest pod opieką naszego Zgrom. W pracy tej brali dotąd udział Misjonarze i Siostry Mił. z Francji, Włoch, Hiszpanji, Holandji, Stanów Zjednoczonych. Obecnie O. Generał Misjonarzy i Sióstr Mił. X. Verdier wezwał i polską prowincję do objęcia pracy w Chinach. Dwa lata temu pojechało tam z Krakowa 6 Misjonarzy, do których w roku zeszłym przyłączyło się dalszych 4, tworząc w Szuntehfu oddzielną placówkę misyjną polską, dokąd udają się nasze Siostry.

Pole pracy w Chinach jest bardzo rozległe, na 430 miljonów ludności $2^1/_2$ milj. jest katolików. A praca misyjna tam tem cięższa i tem delikatniejsza, że Chiny są narodem o bardzo starej kulturze i bogatej cywilizacji, posiadają obszerną literaturę i piśmiennictwo, mają niesłychanie głębokie poczucie narodowe. Praca więc misyjna polega tam, w myśl wskazań Ojca św., głównie na tem, aby ludności chińskiej dopomóc do wydania ze siebie jak najwięcej i jak najlepiej przysposobionych apostołów, katechistów, katechistek, a także kapłanów tubylców, którzyby pracowali nad pozyskaniem dla Chrystusa swych braci.

Przez te dwa lata pobytu w Chinach zyskali sobie polscy misjonarze nadzwyczajną sympatję u Chińczyków, nietylko przez miłosierdzie, którem torują sobie drogę do pogańskich i zmaterjalizowanych serc, ale także przez to, że jako Polacy, urobieni przez $1^1/_2$ wiekowe prześladowanie i ucisk narodowy, umieją uszanować tamtejszy naród i ich cywilizację, niosą światło wiary li tylko dla Chrystusa, li tylko na to, aby przez wiarę pogłębić ich kulturę i cywilizację, ażeby ich głęboką miłość ojczyzny ufundować na zasadach nauki Chrystusowej.

Spodziewać się można więc wydatnych rezultatów polskich misjonarzy w Chinach i Sióstr Mił. przy pomocy łaski Bożej i naszej z nimi współpracy.

Zainteresowanie misjami w Polsce jest bardzo wielkie, świadczy o tem wzrost składek i ofiar na cele misyjne, świadczą liczne organizacje misyjne.

Spodziewać się należy, że głównym przedmiotem zainteresowania

misyjnego w społeczeństwie będą te misje, w których Polska bierze bezpośredni udział: misja OO. Jezuitów w Rodezji, misja XX. Misjonarzy i Sióstr Mił. w Chinach, OO. Bernardynów na Sachalinie, przygotowujące i samodzielne polskie misje Salezjanów, Palotynów, Oblatów Najśw. Marji Panny, Franciszkanów.

Tak jak wojsko na placu boju wtedy tylko czuje swą siłę, gdy widzi poza sobą skupiony cały naród w niesieniu wszelakiej pomocy wojennej, tak samo polscy misjonarze i misjonarki, gdy zauważą, że za nimi stoi cały naród polski, wspierający ich pracę modlitwą i wszelką inną pomocą tak duchowną, jak materjalną, z tem większym zapałem i poświęceniem pójdą w bój za Chrystusa. Mamy nadzieję, że polscy misjonarze i misjonarki niczego innego na celu mieć nie będą jedno, by wiarę darmo otrzymaną, także darmo dawali naszym braciom pogrążonym w błędach pogańskich, jedynie by rozszerzać Królestwo Boże na ziemi i aby pozyskiwać dusze dla Chrystusa".

Po zakończeniu przemówienia przez X. Dyrektora Witaszka odsłonięto kurtynę i oto w żywym obrazie widać Polskę-Rycerza o husarskich skrzydłach z krzyżem w jednym a sztandarem w drugim ręku, biegnącą do stóp jaśniejącego w promieniach krzyża, a obok Chiny pogańskie, nad któremi rozpościera swe skrzydła duch ciemności. Zaczęły się przesuwać przed oczyma widzów fragmenty idei misyjnej. Słychać śpiew z odległych Chin, zjawia się niejako morze głów pogańskich, a smętne tony skrzypiec przenoszą nas hen w dalekie kraje... A wszakże Chrystus umarł za wszystkich. Czyż nie znajdą się dusze, któreby zaniosły ziarna Ewangelji na krańce świata? Modlić się trzeba. Słychać jakby pierwszy podmuch ducha misyjnego, którego chce przykuć ojczyzna. „O nie mów Polsko, żem twój syn wyrodny, że cię nie kocham. Wychodzę z twej ziemi dla Boga jedynie, lecz biorę Cię z sobą — biorę tęsknotę za Tobą"... Opadły mgławice, staje duch mężny, krystaliczny, wspomina tych, co szli przed nim, wpatrzeni w Żłóbek, Krzyż i Hostji Krąg, a na każdy czas wołali: „Miłość Chrystusa nagli nas". — Sursum corda, śpiewa chór.

A dalej wizja misjonarza. Poszedł, ale jakże słabe siły ludzkie. Do walki z ideą Chrystusa całe piekło staje, na zegarze dziejowym północ się zbliża. Krucjata wiernych pod

sztandarem Rzymu idzie w bój z anioły na przedzie. Biegnie w ostatnie zawody. Wśród walczących garstka bohaterów. Któż to? To syny zmartwychwstałej Polski. Walka zawrzała: przygasło słońce, runęły góry, miażdżą się słońca, planety, księżyce... A bój wre... Kto będzie zwycięscą?... Słychać huk, chrzęst oręża, zmaganie...

Wtem krzyż zajaśniał i słychać śpiew: „Christus vincit, Christus regnat, Christus imperat“, który przenosi obecnych do stóp Chrystusa Króla.

A więc idą nieść wiarę Chrystusową do pogańskich Chin. Idą pod opieką Marji Niepokalanej.

„Przeczysta Dziewico, Królowo wszechświata, do Ciebie z serc naszych pieśń dzisiaj ulata“ — śpiewa chór. „O Misji Królowo, o wszechwładna Pani, Tobie prace nasze w ofierze składamy. Ave Maria“.

Tak, idąc na drugą półkulę pierwsze polskie Siostry Miłosierdzia: S. Wiktorja Piasecka, S. Helena Ginał i S. Stanisława Wiśniewska, opuszczając wszystko, aby odnaleźć wszystko w Chrystusie.

Głęboko odczuwają wszyscy doniosłość ofiary i szczęście wybraństwa. Czas nagli — padają ostatnie słowa pożegnania.

Najpierw prezydentka Stow. Dz. Marji z Zakładu Najśw. Marji Panny żegna długoletnią Dyrektorkę Stowarzyszenia S. W. Piasecką, a choć zdaje sobie sprawę przemawiajaca delegatka Barbara Rutkowska z tego, jak wielką stratę ponoszą Dzieci Marji tracąc swą przewodniczkę, to jednak duch misyjny, jaki od wielu lat przenika ich grono, ociera łzy.

Żegna w imieniu Centrali Stow. Dzieci Marji Prowincji Warszawskiej pomocnica misyjna ze Stow. Dzieci Marji z Zakładu św. Trzech Króli, p. Marja Kondejówna, składając hołd wybrankom Pana, którym hart i silną wolę daje idea zwycięstwa Krzyża Chrystusowego na wschodzie. Życzy owocnej pracy, by ziarna zasiane ich ręką wyrosły w olbrzymie dęby, by przez niezmordowaną ich pracę święciło się Imię Boże w Chinach, by przez nie Bóg był pochwalony.

Żegna p. Felicja Wielowiejska, przewodnicząca A. K. M.

przypominając pożegnanie X. Dra Szuniewicza przed rokiem, z którym łączy Koło serdeczny stosunek i zapewnia o dalszej troskliwej pamięci Polskiej Misji w Chinach.

Następnie przemawiał X. Prałat Bajerowicz z Poznania, wskazując na ducha misyjnego, jaki płonie na terenie archidjecezji warszawskiej. Podnosił piękny rozwój Polskiej Misji w Chinach i wyraził słowa nadziei, że i praca Sióstr przyniesie wielkie plony.

X. Prałat Tropkowski w imieniu Związków Misyjnych Arch. Warsz. żegnał odjeżdżające Siostry, widząc w duchu ich powołania szczególne cechy misyjne, boć przez uczynki miłosierdzia chrześcijańskiego wiedzie droga do zdobycia dusz pogańskich.

I znów dochodzi głos śpiewającego chóru: „Dojrzewa już misyjny łan i czeka na robotników pańskich".

Na zakończenie J. E. X. Kardynał Kakowski przemówił do odjeżdżających Sióstr, podkreślając ich zapał misyjny, ich dobrowolną ofiarę, bo nie z posłuszeństwa, nie przez uległość dla władzy, lecz z ducha powołania misyjnego, wlanego w ich serca przez łaskę Bożą, idą odważnie do boju z pogaństwem.

Misja Polska w Chinach jest chlubą Wolnej Polski, obowiązkiem więc naszym jest pamiętać o troskach i potrzebach tych, którzy w imieniu naszem stają do walczących szeregów na froncie Chrystusowym.

Nakoniec J. Em. udzielił arcypasterskiego błogosławieństwa.

* * *

Dzień 12 października, dzień wyjazdu, był szczególnym dniem modlitwy. O godz. 8-mej rano w kaplicy Domu Centralnego SS. Miłosierdzia na Tamce, odprawiona została uroczysta suma z wystawieniem Najśw. Sakramentu na intencję odjeżdżających. Celebrował X. Konstanty Witaszek, Dyrektor SS. Miłosierdzia Prowincji Warszawskiej, a przy bocznych ołtarzach jednocześnie odprawiali Msze św. X. Karol Michal-

ski, Dyrektor SS. Mił. Prowincji Chełmińskiej i w zastępstwie X. Wizytatora Józefa Kryski, X. Rektor Jan Weissman.

Podzielone ręką zaborców 3 Prowincje Zgrom. SS. Miłosierdzia w Polsce przed 150 laty, jednoczyły się u stóp Chrystusa Pana.

Tegoż dnia odbyły się serdeczne pożegnania w ścisłem kole Rodziny Zgromadzenia. Najpierw żegnały aspirantki, wyrażając swą radość, że z tak drogiego dla nich Zgromadzenia jadą Siostry na dalekie misje. I w nas najmłodszych dzieciach Zgrom. budzi się chęć i pragnienie pójścia tą drogą, lecz nie wybiła jeszcze dla nas godzina. Zostając tutaj, postanawiamy zanosić gorące modły przed tron Najwyższego, aby prace Sióstr owocnemi były i przyczyniły się do rozszerzenia chwały Bożej na ziemi", mówiła jedna z aspirantek.

O godzinie 2-giej zebrały się w Domu Centralnym liczne Siostry nie tylko z Warszawy, lecz i z prowincji. Najpierw Siostry Seminarzystki w błagalnym śpiewie prosiły Matkę Najśw. o opiekę nad odjeżdżającemi, a następnie przemówił X. Dyrektor Konstanty Witaszek:

„Dziwnem może się wydawać, iż pokorne SS. Mił. żegnamy z takiemi ceremonjami i uroczystościami. Lecz Drogie Siostry czynimy to tylko, co czynił zawsze św. Wincenty, ten najpokorniejszy ze Świętych, ten, który przedewszystkiem chciał, aby jego Dzieci miały za pierwszą cnotę pokorę. Misjonarzy, udających się na misje nie tylko zagraniczne, ale nawet na misje w kraju żegnał zawsze uroczyście, a gdy wracali z misji, kazał dzwonić, aby zwołać wszystkich w domu będących, by powitali tych rycerzy powracających z boju dla Chrystusa, by cieszyli się z nimi i dzielili plonem żniwa zebranego. Nawet w pismach świeckich ogłaszał św. Wincenty sprawozdania z ich działalności na polu misyjnem, żeby tym sposobem i świeccy ludzie znali pracę Misjonarzy, mieli do nich zaufanie, żeby zainteresowali się misjami i zachęcali się do współpracy misyjnej przez modlitwę i ofiary. W tym celu i my wczoraj urządziliśmy akademję pożegnalną, na którą przeważnie świeccy byli zaproszeni.

Dziś zgromadziliśmy się, aby w naszem kółku rodzinnem pożegnać Siostry udające się do Chin. Żegnają nietylko te Siostry, które w tej izbie się zmieściły, ale żegnają wszystkie Siostry, nietylko z naszej prowincji, ale i z prowincji Krakowskiej i Chełmińskiej, z których przedstawiciele łaskawie przybyć raczyli. Misja bowiem w Chinach, to sprawa

całego Zgromadzenia w Polsce, a choć oddana została przez O. Generała i Matkę Generalną pod kierownictwo S. Wizytatorce Warszawskiej, to jednak spodziewać się należy, że znajdą się ochotniczki misjonarki we wszystkich prowincjach.

Zebrani w tej chwili uroczystej, złóżmy najpierw dzięki Bogu Najwyższemu za tę wielką łaskę, iż powołać raczył nasze Zgrom. do pracy w tej wielkiej Winnicy Pańskiej, na polu misyjnem. Pracowały tam i pracują od trzech wieków Misjonarze i Siostry Mił. innych narodowości, a my w Polsce staliśmy na uboczu jak owi robotnicy ewangeliczni, mówiąc: „iż nas nikt nie najął".

Oto Pan Żniwa zawołał obecnie na nas: „pójdźcie i wy do winnicy mojej, Żniwo bowiem wielkie, a robotników mało". Setki miljonów pogan czeka, abyście im nieśli światło wiary.

Z tą chwilą teraz wchodzimy w szeregi apostołów, i nam Pan Jezus powierza swoje Boskie posłannictwo, to jest apostolstwo — to ideał Chrystusa Pana, któremu poświęcił się aż do męczeństwa.

Ten ideał powierza Chrystus Pan tym, których na to wybiera, to jest apostołom i tym, których w ciągu wieków do tej pracy apostolskiej powołuje.

Spojrzał Bóg i na św. Wincentego i Dzieci jego. Do tej pracy apostolskiej przygotował Pan Bóg naszego założyciela przez niewolę w Tunisie, gdzie osobiście odczuł potrzebę misji zetknąwszy się z poganami.

Gdy św. Wincenty założył Zgrom. Misji i Zgrom. SS. Miłosierdzia najgorętszem jego pragnieniem było, aby synowie jego i córki poświęciły się tym najbiedniejszym z biednych, poganom pogrążonym w ciemnościach bałwochwalstwa. Jakaż była jego radość, gdy otrzymał z Rzymu zlecenie, aby posłał misjonarzy do Madagaskaru, do Algieru, do Tunisu. Choć szczupła była liczba misjonarzy, nie waha się posłać najlepszych swoich synów na misje niewiernych, a choć śmierć zabierała na Madagaskarze jednego Misjonarza za drugim, nie cofnie się, nie zawaha ani na minutę.

A Bóg pobłogosławił Jego ofiarom, bo dał Zgrom. szereg wielkich misjonarzy, jak: Bł. Gabryel Perboyre, Bł. Franciszek Klet, Wielebny Justyn de Jakobis w Abisynji i wielki uczeń jego Bł. Ghebre Michał, X. Levacher misjonarz i konsul w Algierze, którego beatyfikacja jest w toku, brat Francillon, męczennik w Algierze, wielki misjonarz w Chinach X. Appiani, X. Müllener, dziesięć Sióstr, które poniosły męczeństwo w Tientsin, w roku 1870, cały szereg Sióstr męczenniczek i Misjonarzy, których beatyfikacja jest w toku, a nawet w ubiegłym roku 8 sióstr i 5-ciu księży było uwięzionych, z których dwaj księża z naszego Zgrom. narodowości chińskiej mieli to szczęście położyć życie dla Chrystusa.

Jakież to szczęście, że Pan Jezus i nasze Zgrom. w Polsce zaliczyć pragnie do liczby tych wielkich misjonarzy — że i my możemy iść za wezwaniem Pana Jezusa: „Idąc nauczajcie wszystkie narody“ — że i nas powołuje Pan Jezus do Winnicy Swojej, że i my możemy nieść światło wiary, szerzyć Królestwo Boże na ziemi, zbawiać dusze ludzkie, dobrze czynić tym najbiedniejszym — prowadzić ich do nieba.

Wielka to łaska, że Oko Boże spoczęło na naszem Zgrom. To Oko Boże sprowadzi wielkie łaski i błogosławieństwo na każdego z nas, na dzieła nasze, na całe Zgromadzenie w Polsce.

Z łaską apostolstwa przyjdzie do Zgromadzenia i poszczególnych członków Zgrom. duch ofiary dla Boga i dla bliźnich, ucząc nas zaparcia się siebie, umarzania w sobie miłości własnej i samolubstwa, szukania siebie. Łaska apostolstwa wzmocni ducha wiary w nas, niosąc bowiem innym światło wiary, sami głębiej przejmiemy się duchem tej wiary.

Łaska apostolstwa spotęguje w nas pragnienie dążenia do własnego uświęcenia, bo apostolstwo to szczyt doskonałości.

Łaska apostolstwa pomnoży szeregi nasze dając Zgromadzeniu liczniejsze jeszcze powołania, im więcej poświęcimy się tej pracy w szerzeniu Królestwa Bożego, tem więcej będzie powołań.

O złóżmy dzięki Bogu za tę łaskę apostolstwa, bo z tą łaską przyjdzie Zgromadzeniu, dziełom naszym i każdemu z nas cały szereg łask, błogosławieństwa Bożego i wielka chwała w niebie. Oko Boże spocznie na nas w szczególniejszy sposób.

Choć nie wszyscy jechać możemy na misje zagraniczne, wszyscy jednak odtąd udział w nich bierzemy, bo Zgrom. to rodzina, a w rodzinie wszystko jest wspólne, wszyscy we wszystkiem uczestniczą. Choć nie wszyscy jechać możemy, to jednak udział w nich brać będziemy przez modlitwy, ofiary, pokuty i współpracę.

Drogie Siostry! Was to szczęście spotkało, że wy pierwsze jedziecie na misje. Łaska to bardzo wielka. Do tej wielkiej łaski powołania do Zgrom. dodał wam Pan Jezus jeszcze nową łaskę, powołanie na misje zagraniczne.

Jakże Drogie Siostry mam wyrazić swoje uczucia i życzenia. Nie mogę lepiej ich wypowiedzieć, jak ubierając w słowa św. Wincentego, wypowiedziane do tych, których wyprawiał na misje zagraniczne.

Cóż powie serce wasze na tę wielką łaskę, że Bóg powołuje was do szeregów apostolskich tu na ziemi, a tem samem przeznacza do uczestnictwa w koronie chwały chóru apostołów w niebie? Pokora tylko powiada św. Wincenty, wytrzymać zdolna jest tę łaskę. Z pokorą więc Drogie Siostry, oddajcie się zupełnie Bogu Najwyższemu, oddajcie wszystko co opuszczacie, to jest rodzinę, ojczyznę, dotychczasowe zajęcia, kochane towarzyszki i t. d., ale oddajcie Mu się także na wszystko,

przyjmijcie już teraz cały ten program, jaki Bóg przygotował dla was, wysyłając was na misje.

Kiedy się ofiarujecie Panu Jezusowi na wszystko, chciałbym uwagę waszą zwrócić na jedną ofiarę, której mógłby Pan Bóg od was zażądać, ofiarę najcięższą, cięższą może nawet od męczeństwa, a tą ofiarą to pozorne niepowodzenie w pracy apostolskiej. Pozorna bezskuteczność wysiłków, prac, zamiarów, zapału. Tę ofiarę pozornego niepowodzenia przyjął na siebie Pan Jezus. Mógł On porwać wszystkich Swoją Boską nauka i cudami, a jednak chciał, aby Jego apostolstwo miało pozory niepowodzenia. Bardzo małą garstkę miał słuchaczy, szczupła była liczba jego uczniów i apostołów, a i oni nawet Go opuścili a sam pojmany, na śmierć skazany, do krzyża został przybity. Patrzcie, pozornie najzupełniejsze niepowodzenie miało apostolstwo Pana Jezusa, a jednak w rzeczywistości jakże wielkie owoce apostolstwa Jezusowego po Jego Zmartwychwstaniu zbierali apostołowie, zbiera ludzkość przez całe wieki. Może i od was Drogie Siostry zażąda Pan Bóg tej ofiary pozornego niepowodzenia, może wy nie będziecie oglądać owoców waszej pracy, może wy nie będziecie cieszyć się plonem apostolstwa waszego, a zbierać go będą dopiero następczynie wasze. I na te ofiary bądźcie gotowe.

Drogie Siostry, choć nie możemy z Wami pojechać, to jednak towarzyszyć wam będziemy sercem, będziemy z wami zawsze pamięcią, łączyć się będziemy naszą współpracą, przesyłając wam nasze modlitwy, zasługi, ofiary.

Módlcie się i wy za nami, za Zgromadzenie, za dzieła nasze, bo modlitwa misjonarza trafia zawsze do Serca Bożego".

Następnie przemówiła jedna z Sióstr Seminarzystek:

„Całe nasze Seminarjum patrzy dziś na Was, Drogie Siostry, ze wzruszeniem i podziwem. Żal nam, że prawdopodobnie już tu na ziemi nie zobaczymy się, ale mamy nadzieję, że z tem większą radością ujrzymy się kiedyś w niebie. Wiemy, że ziemskie przyjemności nie czekają Was, ale trudy liczne, niewygody ciągłe, przykrości bez liczby, niebezpieczeństwa najrozmaitsze, a może... więzienie... może śmierć męczeńska. Jednak nie ubolewamy, ale raczej patrzymy z zazdrością, że macie tak piękną sposobność okazać miłość swoją Zbawicielowi. Idziecie zdobywać Panu Jezusowi dusze, idziecie bramę żywota otwierać tym, którzy jeszcze pogrążeni są w cieniu śmierci. W Piśmie św. napisano: „że błogosławione w górze stopy tych, którzy opowiadają pokój". Jeżeli więc Pismo św. nazywa powołanie Wasze błogosławionem, szczęśliwem, czyż my możemy inaczej o niem sądzić? Z Kościołem św. mówimy więc: błogosławione dusze, wstępujące na drogę, którą szedł Pan Jezus, błogosławione, które ofiarują życie swe w tym samym celu, w jakim Swoje

ofiarował Syn Boży; błogosławione podejmujące cierpienia dla zbawienia dusz, jak to uczynił Boski Zbawiciel. Błogosławione będziecie, jeżeli z Bożą pomocą zdołacie zebrać plon obfity z jałowej dotąd ziemi. Z jakąż radością przyjmie Was kiedyś Jezus, Najmilszy Wasz Oblubieniec, jakże hojnie wynagrodzi za tak dobre użycie zasług Jego Męki św. A choćby która padła na tej drodze nic jeszcze nie zdoławszy dokonać i taka niemniej będzie błogosławiona, bo jej ofiara, cierpienia i śmierć przedwczesna, wielkiej są wartości przed Bogiem i rosę błogosławieństwa ściągnie na biedną misję, jak niegdyś przedwczesna śmierć męczenników stawała się posiewem chrześcijan. Życzenia więc nasze i modlitwy posyłamy za Wami. Oby Bóg udzielił w obfitości łask Swoich, bez których wszystkie Wasze prace, trudy i ofiary byłyby niczem. Niech da Wam zdrowie i siły, a przedewszystkiem obdarzy miłością Swoją tak bezgraniczną jak przestworza gwiaździste, tak mocna jak śmierć, aby Wam ułatwiła i osłodziła wszystko. Niech zespoli serca Wasze w jedno, abyście mogły wszystko przetrwać, wszystko wytrzymać, wszystko zwyciężyć. Daj Boże, aby wśród naszego grona znalazła się nie jedna, której dane będzie stać się pomocniczką i wspólniczką prac Waszych".

Jedna z Sióstr z Domu Centralnego przemówiła w te słowa:

Drogie Siostry. — Chwila obecna wielka jest i doniosła dla polskich prowincyj naszego Zgrom. Oto po raz pierwszy mamy wziąć czynny udział w wielkiem dziele zdobywania świata pogańskiego dla Jezusa Chrystusa. Oto Boski nasz Król i do nas zwrócił się ze słowami: „Idąc na cały świat, nauczajcie wszystkie narody". Miljard dusz pogańskich jęczy w kajdanach szatana, więc Pan Jezus spojrzał na nich wzrokiem pełnym niewypowiedzianego miłosierdzia i kogóż posyła im na ratunek? Oto teraz wybór Jego padł na nas. Nie na wielkich, nie na uczonych, nie na świętych, ale na nas, biedne, proste, Siostry Mił. w Polsce. A z pośród wszystkich, Was wybrał Siostry Drogie. Sercem i duszą wszystkie towarzyszyć Wam będziemy, wspierając modlitwą i czem która będzie mogła. Ach, z jakąż miłością i radością niewątpliwie spoglądają na Was z nieba Święci Założyciele. Jakże gorąco modlą się za Was i z pewnością nigdy modlić się nie przestaną. Nieprzyjaciel, którego zwalczyć macie, wielki jest, przebiegły i potężny jak Goljat, ale Wy jak Dawid idziecie na niego w Imię Pana Zastępów. Możecie się nie lękać, Pan Jezus z Wami i za Was walczyć będzie, z Wami pracować i z Wami cierpieć, przez usta Wasze przemawiać, bylebyście się nigdy od Niego ani na krok nie oddaliły. Niechże więc Was prowadzi Niepokalana Matka Boża, niech Was otacza opieką Swoją, niech macierzyńska Jej dobroć napełni serca Wasze niebiańskiemi pociechami w miejsce ziemskich, których wyrzekłyście się na zawsze, niech Wam da ten pokój, jakiego

świat dać nie może. Idźcie więc w Imię Boże. Aniołowie liczyć będą kroki Wasze. Choć życie Wasze prawdopodobnie ciężkim będzie krzyżem, ale lekko z niego będzie Wam przejść do nieba. Z Waszą ofiarą łączymy naszą, boście nam droższe i milsze niż kiedykolwiek, ale Was oddajemy Panu Jezusowi, Któremuście się Wy same oddały. Zostaniecie nam tylko jako jasne wspomnienie, które krzepić i w górę podnosić będzie serca nasze. Idźcie więc w Imię Boże, a Bóg i łaska Jego niech zawsze będzie z Wami".

Na końcu przemówiła Cz. S. Wizytatorka:

„I mnie serce nakazuje pożegnać Was drogie Siostry. Pożegnania zwykle smutkiem napełniają dusze. Ale dziś radość tylko czuję, bo wyjazd Sióstr świadczy, że żyje wśród nas duch św. Wincentego i Błogosławionej Ludwiki i że wzmocni się wśród nas duch ofiary i poświęcenia. Z radością więc żegnam Was drogie Siostry, na ziemi się już nie zobaczymy, ale za to zobaczymy się w niebie. Przypomina mi się w tej chwili to, co Ojciec św. Pius XI mówił będąc ostatni raz na Tamce przed swym wyjazdem z Polski: „Do widzenia w niebie". I ja powtarzam: „Do widzenia w niebie".

Chwila była bardzo uroczysta i rzewna; odczuwali ją wszyscy, lecz światło wiary, płynące z głębokiego przeświadczenia, że Pan spojrzał na nasze malutkie Zgromadzenie, na kolebkę jego w Polsce i użył do głoszenia Jego Imienia na krańcach ziemi, kazało nam się cieszyć, że z najbliższego naszego grona są te dusze wybrane. Czułyśmy, że duch nasz jest ściśle z niemi złączony, nietylko w tej chwili, ale towarzyszyć im będzie i w Chinach wśród trudów i upalenia. Obchodziłyśmy pamiętny ów dzień 12 października jak święto uroczyste, czułyśmy, że Pan jest blisko, a choć błyszczały łzy w oczach, to jednak nie były to łzy bólu, lecz wdzięczności za wielką łaskę powołania misyjnego.

O godzinie 8 i pół wieczorem przybył J. Ekscelencja X. Biskup Gall do kaplicy Domu Centralnego Sióstr Miłosierdzia by odprawić nabożeństwo za podróżnych. Po raz trzeci dnia tego Pan Jezus spojrzał z monstrancji na trzy wybrane dusze, gotowe dla Niego na wszystko. Kaplica przepełniona. Chór Sióstr Seminarzystek śpiewa najpierw hymny i pieśni do Najśw. Sakramentu, potem Celebrans odmawia litanję do Matki Boskiej, następnie chór śpiewa „Kto się

w opiekę“ i „Tantum ergo“. Bóg-Człowiek ostatni raz błogosławi im na ziemi polskiej. „Pod Twą Obronę“ śpiewa chór, a następnie psalmy.

Poczem Jego Eks. X. Biskup wygłosił serdeczne przemówienie, biorąc za osnowę tekst Pisma św.: „Wynijdź od rodziny Twojej, z domu ojca Twego, a idź do ziemi, którą Ci ukażę“. „Ecce venio“. „Oto idę“. Otóż i Wy usłyszałyście wezwanie Pańskie i poszłyście za niem. Niech Wam Bóg błogosławi.

Placówka Polskiej Misji w Chinach drogą jest nietylko Zgromadzeniu, ale i nam wszystkim i wszyscy też wspierać ją będziemy nietylko modlitwą, lecz i pomocą materjalną. Niechże błogosławieństwo Boże i Jego łaska zawsze będzie z Wami“.

Następnie Jego Ekscelencja udzielił Pasterskiego błogosławieństwa.

Czas naglił do odjazdu. Pociąg wyrusza o 22·30 m. Pośpiesznie więc udano się na dworzec, gdzie zebrali się licznie życzliwi Zgromadzeniu, wśród których widziano dygnitarzy duchownych i świeckich, delegację Stow. Dzieci Marji i Siostry. Nadszedł czas odjazdu: ostatnie krótkie, serdeczne słowa pożegnania dolatywały do uszu odjeżdżających Sióstr, które odprowadzała do granicy niemieckiej Cz. S. Wizytatorka z jedną z Sióstr z Domu Centralnego Droga do granicy upływała szybko, jeszcze to i tamto polecenie do kraju i niepostrzeżenie nadeszła chwila rozstania się na granicy. Ostatnie gorące pożegnanie ze łzą w oku na ziemi polskiej. Wnet ruszyły nasze drogie Siostry w dalszą drogę, unosząc z sobą każda garstkę polskiej ziemi z pragnieniem, by kiedyś rzucono im ją na trumnę w obcej ciemi.

Królowo Korony Polskiej, weź pod Twą Obronę polskie Siostry Miłosierdzia, pracujące w winnicy Syna Twego w Chinach.

List X. Dr. Wacława Szuniewicza do jednej z Sióstr Miłosierdzia.

Szunteh-fu, 14 sierpnia 1931 r.

Wielebna Siostro!

Ł. P. n. n. b. z. z n.

Zbyt późno odpisuję. Cóż, kiedy prąd wojenny odciął nas na pewien czas od całego świata.

Dziękujemy Opatrzności, że nam zsyła bezpośrednie współpracowniczki misyjne.

Rozpoczęta akcja rozrośnie się za łaską Bożą, zwłaszcza po przybyciu do nas Polskich Sióstr Miłosierdzia. Oczekujemy tu na nie, oczekuje na nie również olbrzymia praca misyjna. Już istniejące zakłady musiałyby pochłonąć siły 15 Sióstr, faktycznie zaś pracuje tu 7 Sióstr Miłosierdzia: 6 chinek i jedna francuska. A praca się rozrasta i tempo rozrostu musi być jeszcze przyspieszone. Wiele, bardzo wiele dobrego mogą zrobić dla Polskiej Misji w Chinach Warszawskie Dzieci Marji, a przedewszystkiem z ich modlitw siły czerpać z nadprzyrodzonego źródła będziemy.

Gdyby powstała myśl wystawy misyjnej w Warszawie, to łatwo sprowadzić bogate zbiory nasze ze Stradomia! Zresztą stąd już się nie orjentuję w możliwościach kochanej Warszawy.

Polecając naszą Misję pamięci w modlitwach, proszę złożyć wyrazy naszej wdzięczności zarówno Wielebnym Siostrom, jak i Dzieciom Marji — naszym Opiekunom.

Sługa w Chrystusie

X. Wacław Szuniewicz.

List X. Dr. Wacława Szuniewicza do jednej z Sióstr Miłosierdzia.

Szunteh-fu, 17 września 1931 r.

Ł. P. n. n. b. z. z n.

Przed paru dniami odebrałem pieniężny list o pełnej treści. Wspaniale doszedł. Jeszcze wspanialsze sprawił na

nas wrażenie. Opatrzność nas wspiera właśnie w tej chwili, kiedy Misja doznała pierwszych znaczniejszych strat. Bóg zapłać wszystkim wymienionym na liście i podpisanym.

Wzruszyło mnie nazwisko p. Dr. Wojnówny Zofji na tej liście — pierwsza to dłoń lekarska wyciągnięta do Szunteh-fu z Warszawy. Składają się na nie z D. W., urywają ze swych oszczędności Dzieci Marji, a opiekuńcze Siostry wszędzie są Spiritus movens tej Bożej sprawy. Jakże oszczędnie będzie wykorzystany na katechistów ten pierwszy dar warszawski.

Powojenna psychika stopniowo powraca do normy, gdzie można było, załatało się dziury w sprzętach i ścianach, tylko zrzeszotowane mury domów z nazewnątrz długo będą nam przypominać nasz chrzest ogniowy. Po krótkim urlopie, niezbędnym wobec głębokich wzruszeń, katechiści również powrócili do warsztatu pracy, tylko ludność okoliczna jeszcze się obawia wyjrzeć z rodzimych lepianek w obawie przed bandytami. Namnożyło się ich z szeregów rozstrzępionej armji powstańców, i do przychodni naszej jeszcze się nie wielu zgłasza pacjentów z dalekich wsi. Ale liczba ponownie wzrasta codziennie. Wojna pochłonęła nam materjał opatrunkowy i sporo lekarstw. Liczyłem na poruszenie lekarzy polskich na początku roku akademickiego łącznie z wyjazdem tegorocznej grupy S. Mił. Niespodziewanie grupa wyrusza wcześniej niżeliśmy mogli przypuszczać. Jeżeli się spóźniłem to ewent. dary chętnie poczekają do grupy następnej, natomiast leki bardzo proszę wysyłać pocztą paczkami bez wartości do 500 gr., a tu o każdy proszek moglibyśmy się kłócić, gdyby to wypadało prawowiernym katolikom. Niech Matka Najśw. prowadzi pionierki-Siostry do Szunteh-fu.

Polecamy się wszyscy modlitwom W. W. S. S. szczególnie o pierwotnego ducha Zgr. w nowych ośrodkach chińskich rodzin św. Wincentego.

Sługa w Chrystusie

X. Wacław Szuniewicz.

Pej-czan, 28 sierpnia 1931 r.

Czcigodny i Kochany X. Dyrektorze.

Łaska Pana naszego niech zawsze będzie z nami!

Za list 31/VII. serdecznie dziękuję. Otrzymałem go tuż zaraz po skończonych rekolekcjach 25/VII. Bardzo on nas wszystkich ucieszył, a zarazem był bodźcem do robienia większych wysiłków, większego zaparcia siebie, bo jeśli tam w Polsce się ruszają, myślą o nas, to naprawdę niegodniśmy tego, zanadto, jak dotąd, mało czynni. Ale Bóg widzi, że mamy dobrą wolę, mamy zapał młodzieńczy, może więc to uwzględni i pobłogosławi naszym poczynaniom. Ja już z łaski Bożej zacząłem, jak to było opowiem pokrótce.

Do 12/VIII siedziałem w Czengting, nie mogąc z powodu zamieszek wojennych ruszyć do Szunteh-fu. Spędziłem w Czengting cały miesiąc, który nawiasem mówiąc, mało mi dał poglądu na pracę. Był to czas niepokoju, co chwila nadlatywały aeroplany, rzucały bomby, każdy więc siedział w swojej dziurze, wszystko się pochowało... Miesiąc zaś pobytu w Czengting był jakgdyby więzieniem. Ale oto w początkach sierpnia wojna się skończyła, do serca wstąpiła otucha odjazdu do Szunteh-fu. Jednak nim się ruch kolejowy ustalił trzeba było czekać aż do 12/VIII, tego właśnie dnia o godzinie 10 rano odjechałem z Czengting do Szunteh-fu. Pojechałem więc do Szunteh-fu ze znacznem opóźnieniem w stosunku do tego, jak sobie przypuszczałem wyjeżdżając z Szanghaju. Jednak, jak we wszystkiem, tak i tu, upatruję zrządzenie miłosiernego Boga nad nędznym sługą, któremu w początkach oszczędza cierpień. Bo jak już X. Dyrektorowi wiadomo, a jeśli nie, to wkrótce dowie się z listu X. Doktora, Szunteh-fu ucierpiało bardzo mocno podczas tych właśnie zamieszek, nasza rezydencja ucierpiała również, a to, że nasi księża i bracia żyją jeszcze, jest naprawdę cudem Opatrzności Bożej. Ale o tem nie zamierzam pisać, zostawiając naocznym świadkom możność wypowiedzenia się.

Do Szunteh-fu przyjechałem więc 12/VIII popołudniu

o godz. 3. W mieście panował już względny spokój, jednak całkowite odprężenie nerwowe jeszcze nie nastąpiło. Zajeżdżam rykszą do rezydencji. Wszczyna się tu gwar, bieganina, witają gości, padamy w konfraterskie objęcia, urywane pytania, odpowiedzi, naprzemian śmiech i westchnienia, potem prowadzą mnie do pokoju. Oglądam się w pokoju, czy będę miał choć na czem spać, a tu dzięki Bogu znajduję wszystko i stół i 3 krzesła i łóżko i miednicę i piecyk, by w porze zimowej ogrzewać zmarznięte członki. A więc jest wszystko, o czem biedny misjonarz nie zawsze marzyć może w kraju misyjnym. Dobry Bóg czuwa nad swemi dziećmi. Ledwo się rozlokowałem w pokoju, przychodzi X. Sup. Krauze i powiada: „Możeby X. Franciszek pojechał jutro do Siknau (mała parafijka na przedmieściu Szunteh-fu, tuż koło dworca kolejowego), bo tam niema księdza, a żołnierze wciąż się kręcą, mogą nam zająć, lepiej żeby tam ktoś był". Odpowiadam, że wola Przełożonych jest dla mnie rozkazem, a więc jutro jadę. I tak ledwom przyjechał, nie zdołałem jeszcze się rozpytać każdego poszczególe jak się ma, a tu już ruszaj dalej. Nazajutrz pojechałem. Siknau — to mała parafijka (120 spowiedzi), którą tworzą przeważnie napływowi z Pekinu lub innych miast kolejarze, a którzy tu w Szunteh-fu, mają posady. Kapliczka malutka, ale bardzo milutka, jeden pokoik dla księdza, drugi dla przychodzących tu bardzo często z koleji kolejarzy, a który jest zarazem refektarzem księdza, potem pokój dla służącego, jeden pokój przeznaczony na szkółkę, jeden na przychodnię, gdzie też jest mała apteczka i jeden pokoik o dwóch łóżkach dla chorych, potem mały dziedziniec z własną studnią i oto cała posiadłość.

Po przyjeździe tutaj odrazu poczułem się jak u siebie. Zjawili się wkrótce i kolejarze: zastępca naczelnika stacji, kontroler biletów w pociągach pospiesznych i inni — wszyscy bardzo serdeczni, mili w rozmowie, wszyscy z Pekinu. Mogę mówić trochę po francusku, ale wolę mówić z nimi po chińsku, by nabrać wprawy w mówieniu, tembardziej, że mowa

pekińska jest właśnie ta, którą i ja w rozmowie się zwykle posługuję, nauczyłem się jej w Ka-Shing od konfratrów z Pekinu. Pierwszy dzień mija szybko, a moja radość niema granic. Dzień następny — to wigilja Wniebowzięcia M. Najśw. Chrześcijanie przychodzą i proszą o spowiedź — niestety muszę odmówić, bo jeszcze i spowiedzi dzieci nie słuchałem po chińsku, a zwykle od tego się zaczyna, mówię im tylko, że dziś wieczorem przyjedzie drugi ksiądz i wyspowiada wszystkich. Pytają dlaczego ja nie chcę spowiadać, odpowiadam, że czasami mogę ich jeszcze nie zrozumieć, a spowiedź to ważna i wielka rzecz. Zdziwieni, odpowiadają mi, że oni wszak mię całkowicie rozumieją, kiedy do nich przemawiam. Owszem bardzo dobrze, ale proszę zaczekać na drugiego księdza. Popołudniu przyjechał X. Górski i wyspowiadał wszystkich, potem trochę odpoczął i odjechał do rezydencji a ja zostałem, by jutro celebrować uroczystą mszę św. i głosić kazanie. Kolejarze siedzieli tu aż do zmierzchu, czas mijał niespostrzeżenie na rozmowie zwykłej, ale b. serdecznej. W tej parafji chrześcijanie sami się troszczą o utrzymanie księdza. Więc teraz, ponieważ dowiedzieli się, że ja lubię chińskie dania, to też naszykowali mi co niemiara chińskich smakołyków. Jeden przynosi jakąś jarzynkę, drugi owoce, trzeci ciastka, czwarty kluski i tak bez końca, aż wreszcie trzeba powiedzieć, że dość, że już nie jem, bo za dużo. O zmierzchu wszyscy poszli do domu, a ja zacząłem powtarzać kazanie. Matka Boża jest naszą matką, a więc my mamy być Jej dziećmi. Przygotowałem to kazanie jeszcze w Ka-Shingu, już tam się go nauczyłem, więc nie miałem trudności w opanowaniu go. Co do wygłoszenia byłem pewien, prosiłem tylko Boga o łaskę, bym był zrozumiany.

Nazajutrz kapliczka pełniutka chrześcijan. Po modlitwach porannych wyszedłem z kazaniem. Byłem całkiem opanowany i mówiłem swobodnie i całkiem naturalnie, czułem, że mię rozumieją, a to dodawało żaru moim słowom, zwłaszcza kiedy im przypomniałem zamieszki bokserskie i opiekę Matki Najświętszej w owym czasie a także i obecnie. Po kazaniu

msza święta. Celebrowałem mszę uroczystą z okadzeniem z całą pompą, czego oni tu już od dawien dawna nie mieli. W kaplicy jest harmonjum, na którem grał jeden z kolejarzy mszę gregorjańską „De Angelis“ — chrześcijanie zaś śpiewali. Ja od ołtarza pomagałem im przy śpiewie. Podczas mszy św. rozdałem 70 komunji św. Przez ten dzień sam Jezus miał zostać w kaplicy aż do 5 godziny. Po mszy św. wspólne dziękczynienie, krótka adoracja i śniadanie. Chrześcijanie asystują księdzu i przy śniadaniu, nie jest to wygodne, zwłaszcza gdy posługiwać się muszę chińskiemi instrumentami, ale cóż kiedy chrześcijanie i przy jedzeniu nie chcą opuścić swego księdza.

Czas mija, a ja muszę wracać na obiad do rezydencji, taka bowiem wola X. Superjora. Zbieram swoje manatki i w drogę. Kolejarze zanoszą moje rzeczy do rykszy, urządzają, żeby było najwygodniej. — Wreszcie do widzenia „tsaicję“.

Wracam do rezydencji nietylko dlatego, by wspólnie biesiadować przy stole, ale by przygotować na głosy kilka pieśni podczas błogosławieństwa tegoż dnia. Przygotowaliśmy więc kilka pieśni po łacinie na głosy i odśpiewaliśmy je w pięciu, a X. Superjor Krauze miał błogosławieństwo. Nazajutrz niedziela, a w niedzielę wieczorem zaczynamy już rekolekcje. Chciałem przed rekolekcjami napisać kilka listów, ale oto znów niespodzianka: X. Górski niedomaga, jutro nie może głosić kazania, więc X. Superjor prosi mnie, abym go wyręczył. Dnia następnego kazanie poszło lepiej niż pierwszego. Z głębi serca dziękowałem Panu Bogu za tę łaskę i polecałem dusze, do których przemawiałem, Jego miłosierdziu.

Wieczorem rozpoczęliśmy rekolekcje: 5 księży i Brat Fasula, X. Superjor i Brat Fedzin krzątali się i załatwiali sprawy bieżące, więc w innym czasie odprawiają rekolekcje. We wtorek rano zakończyliśmy rekolekcje. X. Superjor rozdał nam korespondencję i już zabrałem się do pisania listów, a oto o godzinie 10 zjawiają się dwaj księża chińscy z Pej-

czan (miejscowość skąd piszę ten list), jadą oni do Czengting na wspólne rekolekcje dla świeckich księży. Wobec podobnej sytuacji X. Superjor zdecydował się pchnąć mię — nowicjusza do obsługi parafji w Pej-czan. Nazajutrz o 8 wyruszyłem, a o 6 popołudniu byłem na miejscu. Jest to bardzo ładna i zdrowa górska miejscowość.

Prawie we wszystkich kaplicach brak figur Serca Pana Jezusa i Matki Boskiej. Czyby przy następnej ekspedycji księży czy Sióstr Miłosierdzia, Polska nie zechciała nas niemi obdarzyć?

O pobycie w Pej-czan napiszę obszerniej później.

Sługa w Chrystusie

X. Franciszek Stawarski.

List X. Franciszka Stawarskiego do X. W. Jęczmionki w Chełmnie.

Pej-czan, 8 września 1931 r.

Czcigodny Księże Kapelanie!

Łaska Pana naszego niech zawsze będzie z nami.

Ostatni list wysłałem z Chenting, gdzieśmy mimowoli spędzili długi miesiąc, oczekując na likwidację zawieruchy wojennej. Z rezydencji biskupiej kilkakrotnie usiłowaliśmy wyruszyć do własnego warsztatu pracy, zagradzały nam jednak drogę albo bomby z aeroplanów albo przemarsze wojsk. Dopiero w dniu 12 sierpnia znalazłem się wśród swoich w Shunteh.

Radość i szczęście rozgościły się w naszem nowem gnieździe. Wszak w Szunteh według określenia starego brata Stanisława — to nasza ziemia obiecana. Ziemia obiecana bo istotnie dana nam, kapłanom Polakom do uprawy Bożej roli. Na roli jednak trzeba pracować, inaczej porosną na niej chwasty. To też, ledwo przybyłem do Szunteh, a już następnego dnia wysłał mnie X. Superjor do małej parafijki na przedmieściu. Nabożeństwa, kazania, uroczystości święta Wniebowzięcia Matki Boskiej — wszystko to stanowiło nawiąza-

nie pierwszych moich nici kapłańskich z naszą gminą katolicką. Po trzech dniach powróciłem do rezydencji, gdzie wieczorem podczas błogosławieństwa pięciu księży śpiewało na głosy pieśni łacińskie. Tak się złożyło, że na moją również dolę przypadło prawić kazanie następnego dnia w samej rezydencji. Cieszyłem się niezmiernie, że przygotowanie w seminarjum naszego Zgromadzenia w Kashingu pozwoliło mi od pierwszych chwil działalności kapłańskiej stanąć do pługa misyjnego, zwłaszcza, że pierwsze kazania moje zostały w całości zrozumiane przez Chińczyków. Dla europejczyka jest to nagroda i pociecha.

Tegoż dnia, w niedzielę wieczorem, rozpoczęliśmy rekolekcje, po których już następnego dnia wyjechałem do Pejczan, wsi odległej od Szunteh o 38 km, by zastąpić dwu księży chińczyków w pracy parafjalnej podczas ich rekolekcyj rocznych.

Do misji w Pej-czan należy przeszło 2.000 chrześcijan. Są to przeważnie górale, weseli i pełni życia mimo ich ubóstwa. Niedawno zdobyci dla Chrystusa, wykazują oni żar ducha chrześcijan pierwszych wieków i sami gorliwie szerzą katolicyzm wśród pogan. Miałem sposobność osobiście się przekonać o tem podczas mojej podróży misyjnej do innej odległej o nowe 80 km. wsi Hosia.

Do tej podróży zachęcał mnie jeszcze w Szunteh-fu X. Superjor. Po przybyciu do Pej-czan dowiedziałem się od miejscowych chrześcijan, że po drodze do Hosia spotkam jeszcze inne wsie, które zaledwie parę razy do roku mają sposobność wysłuchać Mszy św... To ostatecznie przekonało mnie o konieczności odwiedzenia tych drobnych ognisk chrześcijańskich. Wybrałem się przeto w podróż z boy'em na mułach. Chciałem jechać konno, ale uprzedzono mnie, że droga do Hosia prowadzi poprzez strome góry, których szczyty są niedostępne dla konia. Istotnie, już po kilku kilometrach drogi wjechaliśmy w wyschnięte łożysko rzeki, najeżone samemi kociemi łbami, po których muł stąpał ostrożnie ale

pewnie, dla konia zaś i ten kilometr drogi byłby nie do przebycia.

Pogoda nam sprzyja. Pochmurne niebo chroni nas przed upalnemi promieniami południowego słońca, na którem europejczyk natychmiast topnieje, tracąc siły do reszty. Taśma naszej drogi nieustannie faluje z góry na dół, z dołu na górę. Nie dziw więc, że tu kobiety narówni z mężczyznami dosiadają muła lub osła, co z konieczności stało się powszechnym zwyczajem.

Po drodze ludzi spotyka się masę, boć w Chinach ludzi nie brak. Czasami spotykamy chrześcijan. Uradowani witają mnie oni: pytają dokąd jadę, proszą bym i ich również odwiedził. Niestety, teraz nie mogę się zatrzymywać, obiecuję tylko zaglądnąć do nich w drodze powrotnej.

Wsie tu są bardzo gęsto nasiane. Zaledwie wyjedziemy z jednej już inną przy sąsiednim wzgórzu dostrzegamy. A w każdej choć drobna garstka chrześcijan. Nieraz tylko 10—15 chrześcijan stanowi zalążek gminy, ale przez tę dziesiątkę łatwiej już kapłanowi krzewić wiarę wśród pogan.

W południe stajemy we wsi Dży-fan, liczącej sporą gromadkę, bo aż 150 chrześcijan. Tu się zatrzymujemy na obiad. We wsi powstaje ruch, wieść o przybyciu misjonarza roznosi błyskawicznie pantoflowa poczta, „Szenfu“, „Szenfu leila“, radośnie biegnie od chałupy do chałupy. „Ksiądz przyjechał“ i wkrótce setka chrześcijan gromadzi się przed mieszkaniem księdza. Nielada to dla nich okazja do zbiegowiska, gdyż misjonarz nie mógł zajrzeć dotychczas do nich niż raz do roku. Proszą wszyscy, bym się już teraz zatrzymał u nich i odprawił Mszę św., wszakże nie mogę zrobić zawodu gminie Hosia i ograniczam się do obietnicy wstąpić tu za parę dni.

Obiad na stole, gościnni gospodarze najlepsze chińskie dania przygotowali dla swego gościa. Ale czem jeść? Zazwyczaj misjonarz wozi tu z sobą własne sztućce i łyżkę, nie podano mi przeto chińskich patyczków do jedzenia. Jakież było ich zdziwienie i radość, kiedy poprosiłem o „Khu-

edze“ (patyczki) i na sposób chiński zabrałem się do znanych mi z chińskiego seminarjum dań. A jednak zdziwienie ich ogarnia, jakże to w Polsce potrafią wszyscy jeść bez patyczków. Każdy kapłan udający się na misję na wieś, zabiera małą podróżną apteczkę na wszelki wypadek. Ja również miałem w tobołku trochę medykamentów, obliczonych na pomoc doraźną. Przez mego boy'a dowiedzieli się o tem wieśniacy, w wyniku czego, w chałupie pod koniec obiadu rojno już było od chorych. Matki poprzynosiły swe dzieci, przeważnie chore na oczy, starsi zgłosili się z bólem głowy, febrą, niestrawnością i t. p. dolegliwościami. Niegdyś garnęli się chorzy i ułomni do Pierwszego Misjonarza błagając o cud uzdrowienia i nie odmawiał im pomocy Pan. Teraz otoczyli jednego z Jego żołnierzy, czyżby mógł im odmówić ulgi w cierpieniu? Gdym spojrzał na tę gromadę cierpiących, zbiedzonych, pozbawionych nietylko duchownej ale wszelkiej opieki, taki żal ścisnął mi serce, że nie mogłem wyruszyć w dalszą drogę, odmawiając im pomocy. Zatrzymałem się więc na godzinę. Jak umiałem zaleciłem zastosować to lub owo najprostsze lekarstwo, zrobiłem parę opatrunków na skaleczenia i ropiejące rany, poważnie chorych, skierowałem do szpitala naszej misji w Szunteh-fu. Chrześcijanie byli niezmiernie ucieszeni i wdzięczni, pragnęli zatrzymać mnie u siebie dłużej, czas jednak w drogę, inaczej przed nocą nie zdążę do Hosia.

„Przedtem niż ksiądz nas opuści, musi nam dać po medaliku“ zagadują mnie, zwłaszcza matki. Niestety, miałem przy sobie tylko 15 medalików, w Chinach zaś nie wolno odmówić innemu, jeżeli się coś dało jednemu. Wyjąłem więc z walizki obrazki, zapowiadając zawczasu, że je tylko dziatwa dostanie. Wszakże za dziećmi wyciągali ręce dorośli i starzy, och tego już za wiele, do widzenia, do widzenia za kilka dni; chrześcijanie odprowadzają mnie całą gromadą dobry kilometr, a gdy się ostatecznie żegnają, jeden z nich bierze mego muła za uzdę. „Sprowadzę tak księdza aż do Hosia. Droga jest niebezpieczna, trzeba przebywać rzeki i przepaści

ja zaś znam doskonale każdy kamyk i napewno się przydam". Kiwnąłem tylko głową na znak zgody, bo ze wzruszenia nie mogłem mówić. Droga do Hosia prowadzi tuż koło rzeki, która nieraz podpływa tak blisko pod skały gór, że nawet wąskiej ścieżyny nie pozostaje. Zmusiło to nas z 10 razy do przebycia rzeki w bród.

O zmierzchu podjechaliśmy do Hosia. Nigdy nie zapomnę ostatniego wspinania się na górę po stromej gładkiej skale. Tu właśnie przekonałem się o niesłychanej zwinności i sile muła przy wspinaniu się na góry. Wreszcie szczyt zdobyty. Muł parska z zadowolenia, a nie mniej zadowolony jeździec rozgląda się dookoła. Jak okiem sięgnąć same góry. Hosia rozrzuciła się malowniczo w zmarszczkach sąsiedniego szczytu; za pół godziny będziemy na miejscu.

W Hosia podejmuje nas gościnnie starosta chrześcijanin. Nie tylko kapłan nieobecny — brat Paulista i dwie Siostry Józefinki również odwołani do Czenting na rekolekcje. „Ale to nie przeszkadza bynajmniej — mówi starosta — byśmy przyjęli księdza jak należy". Istotnie, ktoś się już krząta w kuchence, inny przygotowuje pokój, w kaplicy sprzątają i szykują do nabożeństwa.

O tym kościółku w Hosia słyszałem już dawniej. Przed 10 laty w tej wsi byli sami poganie. Ksiądz Bruno, Włoch, wielu z nich pociągnął do Chrystusa. I przy pomocy gorliwych neofitów wzniósł kościółek. Własnemi rękami dźwigał bryły kamienne, przykładem pociągając wiernych do pracy. Posilał się razem z nimi jakimś plackiem, sporządzonym na prędce przez jednego z pomocników. Jednocześnie budował inną świątynię o 10 klm od Hosia. W pracę tę włożył całą potęgę młodzieńczego zapału i apostolskiej gorliwości, ale też po sześciu latach nadludzkich wysiłków tak nadwerężył zdrowie, że obecnie, na stanowisku prokuratora małego seminarjum w Czentin, czuje się całkowicie wyczerpany.

Radzi gaworzą chrześcijanie, asystując mi przy wieczerzy. Mówię im o potężnym rozroście Kościoła Katolickiego, opowiadam o polskich zwyczajach i obyczajach katolickich,

o pobycie obecnego Ojca św. w Polsce, poczem ich samych rozpytuję o ich życie codzienne, o pożyciu z poganami itp.

Wreszcie udajemy się do kaplicy na wspólne modlitwy wieczorne. Nazajutrz o 6·30 rano odprawiam tu Mszę św. i konsekruję dwie małe hostje na wypadek nagłego wezwania do chorego. Na wspólne modlitwy poranne i Mszę św. zgromadzili się bardzo licznie chrześcijanie, przeważnie z okolicy, cała wieś liczy zaledwie 70 wiernych, za to pantoflowa poczta rozniosła w mig wieść po okolicy o przybyciu misjonarza.

Spędzam tu dobę całą, a że to dzień naszego męczennika Błog. Michała Ghebby, więc za Jego przyczyną proszę gorąco P. Jezusa w Najśw. Sakramencie, by poganom tutejszym raczył użyczyć światła wiary. Na tej rozmowie oraz na pogawędce z chrześcijanami, którzy mnie co pewien czas odwiedzają, upływa mi cały dzień. Następnego dnia po Ofierze Mszy św. opuszczam ten miły zakątek. Chrześcijanie odprowadzają mnie aż do sąsiedniego wzgórza, wydało mi się ono od tej strony jeszcze bardziej nieprzystępne niż dwa dni temu. Jest godzina 9 rano. Ostre powietrze górskie i czar krajobrazu orzeźwia i podnosi, a jednocześnie pochłania, przypominając mi, żem dzieckiem natury, tej natury, co jest podnóżkiem chwały Boga. Przewodnik z Dży-fan i dziś prowadzi mego muła, korzystam więc ze spokojnej kołysanki w siodle, by odmówić brewjarz i tem samem umożliwić dłuższą pogawędkę z chrześcijanami. W południe wyjeżdżamy do wsi Heu-tun-jou. Wieś rozłożyła się w wąwozie, na wzgórzu zaś majestatycznie zarysowuje się kościół; to jest dzieło X. Bruno, o czem wspomniałem wyżej. Chlubią się poczciwi wieśniacy ze swego kościoła i niemal odrazu prowadzą mnie do tej pięknej świątyni z kamienia, wzniesionej w ciągu niespełna półtora roku jako owoc bezinteresownej pracy samych wiernych. Nie sprzyja im jednak los. Wykończenia wewnętrznego brak, a nawet na zewnątrz bandyci z nienawiści do katolicyzmu powybijali szyby. Co ważniejsza, brak pasterza. Misjonarze tak są nieliczni, że do obsadzenia tej wdzięcznej placówki jeszcze nie prędko zapewne przyjdzie.

Po posiłku przekształciłem się w lekarza. Ktoś skaleczył nogę, prosi o opatrunek, cały szereg dzieci, chorych na oczy i t. p., ale czas w dalszą drogę. Tym razem cała wieś odprowadza mnie, bo wszyscy tu są chrześcijanie. Jakże gorąco prosiłem Pana, by zachował tę swoją wierną gromadkę, oddaną pod opiekę Matki Niepokalanej. Obiecałem zajechać do Dży-fan, dotrzymuję słowa. Czekano na nas. Zdaleka posłyszałem uderzenie dzwonu we wsi; zapewne ktoś na nas czatował i zwołuje teraz wiernych. Istotnie, serdeczne powitanie odbyło się jeszcze przede wsią, a w kaplicy i w chałupce znalazłem wszystko starannie przygotowane na przyjazd misjonarza. Na 7 rano dzwon zawołał wszystkich na Mszę św. Pragnąłem tym pozbawionym opieki duchownej powiedzieć kilka słów przynajmniej, mimo, że wcale nie byłem przygotowany. Zaufałem wszakże słowom Zbawiciela: „W owej godzinie będzie wam dano, co macie mówić". O czem im mówiłem? Ot, co mi serce podpowiedziało i co mi Pan Jezus nasunął na myśl. Mówiłem, że gdyby wśród nich znalazł się najbardziej nieszczęśliwy, co stracił ojca i matkę, to przecież szczęście większe odzyska na łonie Ojca Boga, a w Marji Niepokalanej odzyska matkę, w Ich gronie i pod opieką zapomni o bólach, a znajdzie pokój. Słowa płynęły z głębi serca, a łaska Boża kierowała je w głębię serc chińskich i sama otwierała im treść. Po Mszy św. stawiło się 2 górali ze skargą do mnie: na mnie samego. „Jadąc do Hosia ksiądz nam przyrzekł, że nas odwiedzi. Czekaliśmy i przygotowaliśmy się na przyjęcie, a że doznaliśmy zawodu, więc pragnęliśmy tu w Dży-fan wysłuchać Mszy św. i to się nam nie udało, bośmy mieli do przebycia aż 18 klm. i spóźniliśmy się". Skarga była naprawdę bolesna, zwłaszcza, że właśnie ich to spotkałem przed paru dniami i rzeczywiście przyrzekłem stawić się w ich wiosce. Jedno mogłem im wytłumaczyć w obronie mojej intencji, żem ich uważał za mieszkańców Hou-tunjou, dokąd zajechałem w dobrej wierze, że to czynię w myśl danej obietnicy. Trudno, stało się. Jako nagrodę za gorliwość, dostali każdy po koroneczce.

Odjazd. Jak i poprzednio, chrześcijanie odprowadzają mnie tłumnie mimo moich protestów. Dopiero po wyjściu poza bramę wiejską, zatrzymali mego muła, uklękli wszyscy i proszą: „Szen-fu, ozien-fu", to jest pobłogosław Ojcze. Prosiłem pokornie Zbawiciela, by Sam im pobłogosławił i Jego Krzyż zakreśliłem w powietrzu. Pożegnaliśmy się, ale z głębi duszy długo jeszcze płynęła modlitwa do Ojca na niebie o opiekę nad temi dziećmi, co nawet bez kierownictwa duchownego potrafią pielęgnować uczucia wiernej miłości dla Niego.

Małą przygodę przebyłem na ostatnim odcinku drogi powrotnej, oto muł nie prowadzony już przez przewodnika z Dży-fan, poślizgnął się na kamienistem dnie pośrodku rzeki i ja runąłem jak długi do wody. Kapelusz poczuł wolność i z prądem dalej płynął, zaledwiem go dopędził, krocząc po pas w wodzie. Po kwadrancie stanąłem w Pej-czan, a jeszcze się ze mnie strumienie wody sączyły. Przypadkowo przyjechałem wczoraj do Szunteh-fu. Jechałem właśnie jeszcze raz do Hosia odwiedzić chrześcijan, ale po drodze dowiedziałem się o prześladowaniu chrześcijan w jednej wsi. Chrześcijanie wszyscy uciekli ze wsi rodzinnej i w innych sąsiednich znaleźli przytułek u chrześcijan. Nie mogłem zaniedbać sprawy, stanąłem w obronie prześladowanych i przyjechałem właśnie do Szunteh-fu polecić sprawę i prośby chrześcijan X. Superjorowi. Sprawa już się toczy, a ja dzisiaj popołudniu jadę do Hosia.

Pej-Czan, 22 września 1931 r.

Przewielebny X. Dyrektorze!

Ł. P. n. n. z. b. z n.!

Nie pamiętam już kiedy wysłałem mój ostatni list, ale zdaje mi się, że zaraz po przyjeździe do Pej-czan, czyli w końcu sierpnia. Wspomniałem wówczas o podróży, raczej o wycieczce misyjnej do Hosia, sąsiedniej placówki misyjnej, odległej od Pej-czan o 60 klm. Otóż rzeczywiście w ponie-

działek 31 sierpnia o godzinie 6 rano udałem się tam konno razem z przewodnikiem. Nie będę tego opisywał szczegółowo, bo w tym celu napisałem i przesłałem inny list do X. Jęczmionki. Tutaj powiem ogólnie o moich wrażeniach z tamtej i dwóch innych wycieczek misyjnych, których dokonałem po powrocie z Hosia.

Jeśli chodzi o stronę moralno-religijną tutejszych chrześcijan, to należy chwalić i wielbić Boga, za dary Jego łaski, któremi szafuje wśród tutejszych chrześcijan. Są przeważnie chrześcijanie nowoochrzczeni, 10, 20 – 70 lat liczy tu chrześcijaństwo. A jednak na tych dwóch placówkach misyjnych, które obecnie powierzone są mojej pieczy jest 3.000 chrześcijan. Ale te 3 tysiące nie są w miejscu, przeciwnie rozproszeni są okropnie i to po górach, rzadko można znaleźć wieś, gdzieby była setka chrześcijan, ale z drugiej strony rzadko znaleźć wieś, gdzieby nie było ani jednego chrześcijanina. To nadzwyczajne rozproszenie chrześcijan stwarza rzeczywiście poważną trudność, bo wprost uniemożliwia misjonarzowi częste odwiedziny chrześcijan, a co za tem idzie mocno przyczynia się do ignorancji religijnej chrześcijan, tembardziej, że brak tu absolutny katechistów. A jednak to właśnie nadzwyczajne rozproszenie chrześcijan, stwarza nadzwyczaj pomyślny atut do propagandy wiary św. wśród pogan, bo tych kilku chrześcijan we wsi są właśnie tą wędką, którą łapie się ryby, dusze pogan. I dlatego, po tem com widział, skonstatowałem: 1) szerzyć wiarę wśród pogan jest stosunkowo łatwo, byleby tylko misjonarz miał do pomocy dwóch katechistów, których obecnie niema; 2) daleko trudniej ugruntować wiarę wśród chrześcijan z powodu nadzwyczajnego ich rozproszenia. To, że misjonarz może tylko raz do roku odwiedzić niektóre skupienia chrzescijan, ogromnie ujemnie wpływa na zagłębienie ducha chrystjanizmu wśród chrześcijan, odwrotnie bardzo sprzyja ignorancji religijnej, co zwłaszcza bardzo szkodzi wówczas, kiedy poganie zapytują chrześcijan w różnych kwestjach, a ci nie umieją odpowiedzieć, lub odpowiadają źle. I tu znowu misjonarz musi mieć dobrych.

wyćwiczonych współpracowników, jak Siostry Miłosierdzia, lub braciszków Zgromadzenia, których dotychczas tu nie sprowadzono z Czengtinu, bo na to nie pozwalały warunki materjalne. A teraz co do warunków materjalnych. Otóż te są rzeczywiście fatalne: chrześcijanie są biedni, a my znowu nie mamy pieniędzy do wyrzucenia tylko do opędzenia najważniejszych potrzeb, misjonarz więc musi sam sobie radzić. Jak? Zdaje mi się, że najłatwiej, stawiając na odpowiednim poziomie ogrodnictwo, n. p. w misji w Pej-czan jest około 15 morgów ziemi, które w tych warunkach jak obecnie nic nie daje korzyści. Zupełnie co innego, gdy na tych 15 morgach zasadzi się drzewa owocowe, jarzyny, truskawki etc. Znam się trochę na ogrodnictwie, jednak bardzo przydałyby się podręczniki z tej dziedziny, uprzejmie proszę X. Dyrektora o przysłanie mi takowych, proszę także przesłać mi wskazówki o stosowaniu nawozów sztucznych. Po dwuch tygodniach wracam do Szunteh, a stamtąd jadę do Czenting, gdzie tego roku będę pracował na misjach. To też wszystkie proszone broszury i wskazówki proszę skierować: Chengting (Hopeh) F. St.

Co do Sióstr Miłosierdzia konieczne one będą na każdą z naszych Misji przynajmniej po dwie. Praktyka jasno pokazuje jak bardzo lgną i poganie i chrześcijanie do praktyki miłosierdzia i pomocy lekarskiej stosowanej przez Siostry. Należy tylko mocno propagować, by zebrać dużą ilość medykamentów jak: 1) Szwajcarskie górskie zioła Gąseckiego, 2) aspiryna, 3) chinina, 4) olej rycynowy, 5) tannina w proszku na rany i owrzodzenia, 6) proszki na kaszel, 7) maść do oczu (żółta). Przez ten czas jak tu jestem w Pej-czan, przekonałem się o niesłychanej wartości tych medykamentów w dziele propagandy, ludzie przychodzą z daleka, z bardzo daleka, gdyby się uzbierało, proszę zaraz przesłać do Szunteh, zwłaszcza fabryka mokotowska A. Gąseckiego, na naszą misję może coś gratis da.

List X. Franciszka Stawarskiego, do X. Dyrektora Konstantego Witaszka.

Shuntch-fu, 7 października 1931 r.

Przewielebny Księże Dyrektorze!

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa niech zawsze będzie z nami.

List niniejszy o mojej drugiej wycieczce misyjnej mógłbym zatytułować „Osiem dni w górach Azji na koniu". Osiem dni wśród niewygód i zdarzeń, wśród kłopotów i niebezpieczeństw, a jednak zanurzony w pełni szczęścia wewnętrznego za św. Pawłem powtarzam „Ego autem superabundo gaudio in omni tribulatione".

Druga misyjna wycieczka podobnie jak i pierwsza miała za cel stację misyjną Hosia. Wszakże tym razem wyruszałem pod znakiem niepokoju, ponieważ dowiedziałem się, że w tamtych górach i okolicy grasują członkowie stowarzyszenia: „czen u tau" (sekta bożka czen), skierowana przeciwko chrześcijanom. Misjonarz ogląda się tylko na rozkaz Zbawiciela, który i mnie w uroczystość Matki Boskiej de Merdede skierował do Hosia.

W pół drogi na popasie zbieram bliższe wiadomości o wspomnianych wrogach katolicyzmu. Jest ich tymczasem niewielu, około 500. Rozrzuceni grupami po licznych wsiach górskich, stanowią oni ośrodek szeroko rozgałęzionego stowarzyszenia, posiadającego licznych członków i zwolenników na północy Chin oraz bardzo dobrze zorganizowaną defenzywę w większych miastach. Zaniepokojeni chrześcijanie i mnie chcą powstrzymać od dalszej podróży. Z mojej strony spotyka ich zawód, wobec czego namawiają katechistę mego, by nie ważył się ruszyć ze wsi, a tem samem zmusił i mnie do powrotu. Napróżno. Wyruszamy dalej.

Wobec piękna przyrody zapominamy o wszystkiem. Jedziemy kilka kilometrów łożyskiem rzeki, wzbierającej jedynie w porze deszczowej. Tylko czasami na parę minut zanurzamy się w wodzie i w tych właśnie momentach „kocie łby" (po-

rochy tutejsze) stają się niebezpieczne dla koni i jeźdźców. Dookoła góry, przeważnie gołe skały, granit i wapienniki. Naturalnie zamki średniowieczne zarysowują się w dali, niejeden szczyt wznosi się nad nimi jak baszta zamkowa. Tuż przed nami zrywają się czubate czaple, górskie rybołowy, a bociany, takie nasze polskie bociany, zdają się czekać, że do nich przemówię słowy Zdanoborskiego z „Niewoli Tatarskiej" — „Lećcie do Polski, powiedzcie wszystkim...", że wasz to rodak po górach Azji wędruje i ziarna swych ojców wiary w duszach pogańskich zasiewa.

Przed nami wieś. Nic na pozór nie zdradza niepokoju, jednak już pierwsi spotkani informują nas, że w tej wsi gmina chrześcijańska przytuliła dziesięciu uciekinierów, wypędzonych przez wspomnianych sekciarzy ze wsi rodzinnej. Sekciarze ci napadli kolejno cztery wsie, o drobniejszych gminach katolickich, zrabowali mienie chrześcijan, zmuszając ich do szukania ratunku bądź we wsiach sąsiednich, bądź nawet w Shunteh-fu. Musiałbym natychmiast zaopiekować się nieszczęśliwymi, gdyby nie obowiązek bezpośredni: udzielenia Ostatniego Namaszczenia w Hosia. Tam więc najpierw pospieszyłem. Znalazłem chorego w stanie chwilowej poprawy, wobec czego po udzieleniu pomocy duchowej, zastosowałem także środek leczniczy, wzorem Zbawiciela, Który leczył jednocześnie duszę i ciało.

Dowiedziałem się tu, że każda wieś posiada gromadkę uzbrojouych sekciarzy, którzy na apel przywódcy łączą się w większe gromady, napadają na gminy chrześcijańskie i wyrzucają ze wsi, każdy zaś napad dodaje odwagi do następnego rabunku, o ile pierwszy pozostał bezkarny. Nie miałem chwili do stracenia. Należało natychmiast powrócić do Shunteh-fu i całą sprawę złożyć w ręce X. Superjora, jako Dyrektora dyskryktu misyjnego. Postój w tej samej, co i wczoraj wsi Dży-fan, tego dnia odbył się w odmiennych warunkach. Przed kaplicą znalazłem zgromadzonych wszystkich chrześcijan w tej liczbie i uciekinierów z innych wsi. Gwarzą, radzą, jak mają postąpić wobec zajęcia przed godziną są-

siedniej wsi, oddalonej zaledwie o kilometr od nich. Pytają mnie o radę. Słucham uważnie ich opowiadań i bojaźliwych przypuszczeń, a że wrogowie są tak blisko, uważam za obowiązek misjonarza osobiście przekonać się o ich stanowisku wobec przedstawiciela Kościoła. Idziemy z katechistą. Przy wejściu do wsi znajdujemy posterunek uzbrojony w karabiny i maszynówkę. Pozdrawiam ich zwyczajem chińskim: „pnina" pokój wam. Nieco zdziwieni wartownicy, witają mnie tem samem pozdrowieniem. Gdyśmy minęli wartę, dopiero wtedy przyznał mi się katechista, że duszę miał na ramieniu. Zakłopotanie wyczytaliśmy na twarzach mieszkańców wsi, nie rozumieli, jak mógł bezbronny misjonarz wejść do obozu wrogów. Skierowaliśmy się ku kaplicy. Uderzono w dzwon. Po chwili cała gmina stawiła się w komplecie. Pospieszyli się zebrać, domyślając się zbiórki przeciwko napastnikowi, jakież było ich zdziwionie, kiedy przed kaplicą zobaczyli misjonarza, co przyniósł im słowa pociechy i otuchy. Wyjaśniło się na szczęście, że poganie tej wsi żyją w zgodzie z chrześcijanami, wobec czego banda sekciarzy, licząca tu zaledwie 50 ludzi nie odważy się występować otwarcie. Zatrzymali się tu raczej na postój i w celu wywiadu, planując napad na pobliską wieś, zkolei piątą w tej okolicy. Po zbadaniu sytuacji mogłem spokojnie opuścić wieś, skorzystałem tylko ze sposobności, by przynieść ulgę w cierpieniu. Liczni kandydaci, zwłaszcza chorzy na oczy, zgłosili się natychmiast do zawartości mojej skrzynki, skąd chętnie czerpałem, jak umiałem.

Chwile pożegnania nieco się przewlekły. Chrześcijanie w chwili podniecenia wobec niebezpieczeństw planowali nietylko zbrojny opór, ale i ofenzywę. Długo musiałem ich przekonywać, że do siebie muszą zastosować słowa Chrystusa; „Nie wiecie, czyjego ducha jesteście". Przypomniałem im, że przed walkami bokserskiemi, kiedy Kościół w Chinach przechodził okres ciężkich prześladowań, w ich wsi żadnego chrześcijanina nie było: krwi więc męczeńskiej zawdzięczają swoje powołanie do wiary. Przypomniałem im, jak Sam Zbawiciel

powstrzymał miecz Piotrowy, wzniesiony na napastników. Dali się przekonać i przyrzekli, choć nie łatwo im to przyszło, iść po linji nauki Chrystusowej.

Chwile wyjazdu jeszcze pod innym względem głęboko mi się w pamięć wryły. Przy kaplicy od chwili przybycia uciekinierów powstał ośrodek niesienia im pomocy bratniej. Ulepiono z gliny piecyki i przed chałupą starosty gminy katolickiej gotują strawę z wiktuałów, ofiarowanych przez członków gminy. W ten sposób gmina, licząca 100 osób, przygarnęła aż 40 uciekinierów. Biedni są sami, lecz jak i pierwsi chrześcijanie mieli jedno serce i jedną duszę, tak, iż nie było wśród nich potrzebujących, to samo powtórzyło się obecnie po 20 wiekach w tej nowej chińskiej gminie chrześcijańskiej.

Według zwyczaju przed odjazdem misjonarza odmówiliśmy wspólne modlitwy w kaplicy. Chrześcijanie proszą Boga o błogosławieństwo dla swego kapłana, poczem krzyż zakreślony ręką misjonarza spoczywa nad zespoloną garstką wiernych.

Po powrocie do Shunteh-fu oddałem całą sprawę w ręce X. Dyrektora Krauzego. W ciągu paru następnych dni uczyniono wszystko, by ratować zagrożonych. Ufamy, że Bóg Sam pokieruje całą sprawą, boć to Jego dzieło.

Dzieląc się temi krótkiemi wiadomościami, pozostaję oddany w Chrystusie

X. Franciszek Stawarski C. M.

List X. Superjora Ignacego Krauzego do X. Dyrektora Konstantego Witaszka.

Shunteh-fu, 7 października 1931 r.

Przewielebny Księże Dyrektorze!

Łaska Pana Naszego niech zawsze będzie z nami!

Pisałem z Tientsinu, sądzę, że X. Dyrektor otrzymał ten list. Dzisiaj chcę podziękować za dary w dolarach dla naszej misji. Dzięki tym ofiarom można coś zacząć, a plany nasze wielkie, takie same, jak nasze nadzieje, pokładane

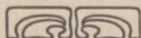
w ofiarności społeczeństwa polskiego. Niech Bóg wynagrodzi X. Dyrektorowi i wszystkim Przyjaciołom Polskiej Misji w Chinach za ukochanie naszej misji i zrozumienie, że sami tu nic nie zrobimy bez pomocy kraju.

Z tych ofiar, które przywieźliśmy z kraju i które napłynęły z Ameryki w postaci intencji mszalnych, zakupiliśmy dom dla Sióstr. Tranzakcja przeprowadzona jeszcze w marcu. Dziś już ten dom odrestaurowany możliwie do mieszkania, przystosowany do wymagań życia wspólnego. Jest to raczej cały szereg domów, zwyczajem chińskim. Więc centralny budynek przeznaczony dla Sióstr, w środku duży pokój przeznaczony na salę Zgromadzenia, po bokach dormitarze i refektarz. Dom ten leży w głębi podwórza, co zabezpiecza od gwaru ulicy. Od ulicy dom podzielony jest na dwie wielkie sale, w jednej będzie katechumenat dla kobiet, w drugiej znajdą przytułek kobiety, które przychodzą nieraz z bardzo daleka z oczami choremi. W ten sposób mają zabezpieczone mieszkanie przyzwoite i spokój od różnych napaści, czego trudno się ustrzec w hotelach chińskich. Jedzenie kupują sobie same. Przyjmuje się wszystkich: chrześcijanki i poganki. Jedna z Sióstr przeznaczona, by wśród nich prowadzić katechizację. W ten sposób pobyt ich w misji przyczyni się do dobra duszy i ciała. To jedno dzieło, które już w tych dniach będzie można puścić w ruch. Drugie: katechiści — potrzeba nam ich bardzo wielu — pisał już o tem X. Doktór. Trzecia potrzeba — nie przelęknie się X. Dyrektor — ale powiem: budowa kaplic i kościołków. Zwiedziłem całe terytorjum i przekonałem się, że nie mamy ani jednej godziwej kapliczki. Jest 5 budowli w kształcie kościołków, budowanych przez przygodnych majstrów. Dziś się to wszystko rozpada, wszędzie dziury, gwałtownie potrzeba reparacji, by przez kilka lat jeszcze posłużyło. Inne kapliczki to najzwyczajniejsze domki gliniane, trzymają się jeszcze, ale pełno dziur. Biedniejsze od Betleemu. Nie myślę od razu zabierać się do budowy wszystkich kaplic. W tym roku prawdopodobnie ani jednej nie ruszę, bo pieniędzy niema. A Księdzu Dyrektorowi piszę dlatego o tem,

by znał nasze potrzeby i w odpowiedniej chwili, odpowiedniej osobie poddał sposoby przyjścia nam z pomocą O szpitalu nic nie piszę, bo X. Doktór tego pilnuje.

Polecam się pamięci w modlitwach i pozostaję w miłości Jezusa i Matki Najświętszej.

X. J. Krauze C. M.





X. WILHELM SZYMBOR, C. M.

Nasze Misje w Brazylji.

Do stanu Rio Grande do Sul.

Trudno było umawiać się z Kurytyby o misje w stanie Rio Grande do Sul. Wiedzieliśmy z opowiadania konfratrów a zwłaszcza z książki Ginkowskiego, w których kolonjach Polacy się znajdują. Ale nie wiedzieliśmy w jakim promieniu od kościoła mieszkają, ani o tem, gdzie najdogodniej w danej okolicy zcentralizować można pewne grupy Polaków. Ułożenie więc zgóry planu misji na dystans było niemożliwe. To też porozumiewając się z OO. Franciszkanami, którzy tak w Santa Catharina, jak w Rio Grande mają dużo stacyj misyjnych, prosiliśmy, aby gwardjanowi, O. Justino Girardi, donieśli, że na misje w północnej części stanu przeznaczony sierpień i wrzesień, a on sam niech ułoży program i zgóry niech powiadamia wszystkich interesowanych duszpasterzy i ludność. Franciszkanie prowincji brazylijskiej, w trzech czwartych niemcy, wszyscy z kulturą niemiecką, sami prosili nas o misje dla polskiej ludności franciszkańskich parafij w stanie Rio Grande.

Już na stacji w Kurytybie spotkaliśmy na wyjezdnem Padre Archanjo, franciszkanina, który nas miał dowieźć do miejsca przeznaczenia, do Barro. Jechał i po to, aby Franciszkanom rekolekcje głosić. Z polecenia prowincjała jedzie i w stanach Rio Grande i Santa Catharina rozprószonych

Franciszkanów gromadzić będzie w różnych miejscowościach po 3, po 4, jak się da, ale tak, żeby każdy z nich mógł odprawić roczne rekolekcje. Lokomotywy, zaopatrzone w napis „Maschinenfabrik Kassel", zabrały nas z Kurytyby i wiozły do Mafra z szybkością 40 km na godzinę, z Mafra wzdłuż rzeki Rio Negro do Porto Uniao z szybkością 35 km, a stąd do Marcelino Ramos, to znaczy przez cały stan Santa Catharina, z szybkością 26 km na godzinę. Aż do Barro mamy zrobić 859 km. Kolej wije się jak wąż w licznych zakrętach po kampie, wśród lasów, między górami i rzekami, nigdy nie idzie w prostej linji. Omija starannie każdą górkę, każdą strugę. Kompanja kolejowa otrzymała zamówienie na kilometry i zamówiona była płaca od kilometrów. Zależało więc na tem, aby przez zakręty jak najliczniejsze otrzymać możliwie dużo kilometrów toru kolejowego a przez unikanie przepraw przez rzeki i góry uniknąć kosztów na budowę mostów i tuneli lub niwelacji. Wyjeżdżaliśmy z Kurytyby w połowie zimy tutejszej, bo 30 lipca, kiedy w Polsce najgorętsze lato. Ale cała ta zima polegała na tem, że rano w chwili wyjazdu gęsta zimna mgła zasłaniała horyzont i mżył cienki deszczyk. Ale już za Araukarją, kiedy wzdłuż rzeki Ignassu jechaliśmy a jeszcze bardziej za stacją Serinha przemogło słońce i koło 10 godz. na wysokości Lapy już świeciło w najlepsze w pełnych blaskach. Deszcz ustał, szaruga znikła, słońce igrało w kropelkach zwisających z mokrych drzew, lasy tak gęste za Lapą oblane promieniami słonecznemi, korwy bujają wysoko pod słońcem. Zima a tu drzewa i krzaki zielone, a tylko kampy są szare, popielate a słońce praży. W wagonie ciepło się zrobiło i wszyscy płaszcze zdejmują i wieszają na kołku. Nie na kołku, bo ich tu niema, niema ani jednego wieszadła, a płaszcze zwinąć trzeba i położyć na walizce. Od Rio da Varzea już tylko lasy. Za Campo do Tenente widać na szczycie góry wspaniały budynek.

To Collegio Franciszkanów, małe seminarjum, z 180 uczniami, objaśnia nas Padre Archanjo. Wybudowane przed kilku laty kosztem 1,200.000 milów.

Ale kolej tak się kręci, że raz budynek mamy z prawej, drugi raz z lewej strony, to znika, to znów się okazuje wprost przed nami.

Wreszcie stacja Rio Negro jeszcze w Paranie. A teraz Mafra, już w Santa Catharina. Godzina pierwsza popołudniu. Na stacji harmider, zgiełk. Tragarze się uwijają i walizkami roztrącają gości, podróżni przesiadają z pociągu do pociągu, mali oberwańcy zachwalają pomarańcze. Prowincjał Franciszkanów przyszedł na spotkanie z naszym Archaniołem i nasze. Uprzejmość to z jego strony. Nie zatrzymywał, bo pora obiadowa, pociąg niedługo stoi. Poszliśmy do drewnianej restauracji dworcowej. Przed restauracją parę klatek z papużkami i dzwońcami różnobarwnemi, a w niej restaurator murzyn stuprocentowy Feijao, arroz, carne macarrao. Niedrogo. Zdaje mi się 4 mile.

Dalej już jedziemy wzdłuż okazałej rzeki Rio Negro, która jak tyle innych rzek południowej Brazylji, ma widocznie nieprzezwyciężony wstręt do morza. Jakkolwiek bowiem wypływa o kilkadziesiąt kilometrów od Atlantyku, to przecież nie płynie na wschód ku niemu, ale obrała wręcz odwrotny kierunek zachodni wgłąb kraju i zaraz za Canoinhas, tuż przy Desvio, łączy się z królewskim Ignassu. Ten również od morza ucieka. Płynąc na zachód wpada do rzeki Parana.

Tymczasem słońce przypomniało sobie, że to zima. Zaraz popołudniu schowało się za szare mgły i chmury, deszczyk sipi, a pod wieczór chłodno i deszcz siecze w szyby. Późnym wieczorem zawiózł nas pociąg do Porto Uniao. Przenocowaliśmy u OO. Franciszkanów. Jest tu 4 Franciszkanów. Zastaliśmy wszystkich, ale już jutro wyjadą, każdy w inną stronę do kaplic, bo za 2 dni niedziela. Od Rio Negro aż do Porto Uniao (249 km) a stąd w poprzek przez cały stan Santa Catharina (368 km) i potem jeszcze w Rio Grande do Sul aż do Barro (41 km) wykonują duszpasterstwo Franciszkanie wzdłuż kolei na linji 658 km. W tym celu mają na tej linji w odstępach porozstawiane klasztory: w Rio Negro, w Porto Uniao, Barro i Tres Arroios. Planowa robota, uzna-

nia godna. W ten sposób bowiem przy twardej, ciężkiej pracy duszpasterskiej pomaga im dojazd koleją a po kilkutygodniowych objazdach wracają do życia wspólnego, klasztornego, mieszkając po kilku i kilkunastu. Unikają zasadniczo tworzenia małych rezydencji. W klasztorze w Torto Uniao wszystko prymitywne, franciszkańskie. Ani śladu najmniejszego komfortu. Po franciszkańskiej kolacji poszliśmy spać do celek równie franciszkańskich, do łóżek w stylu prymitywnym o nakryciach i bieliźnie z najgrubszych materjałów. Nazajutrz po mszach św. poszliśmy zobaczyć szpital polskich Sióstr Rodziny Marji, okazałe collegio Sióstr niemieckich, Bożej Miłości, imponującą rzekę Ignassu, kościoły franciszkańskie. Mają tu Franciszkanie 2 kościoły murowane gotyckie, bo służą dwom parafjom. Linja kolejowa oddziela dwa miasta i dwie parafje: Porto Uniao, które należy do stanu Santa Catharina i Uniao da Victoria, która jest po stronie Parany. Oba kościoły piękne, z nakładem wielkim budowane, bo nietylko ludność miejscowa ponosiła koszta, ale i rządy stanowe dbały o to, by świątynie przedstawiały się reprezentacyjnie.

Przed kościołem spotkaliśmy parę polską, która przed ślubem chciała się wyspowiadać. Na ulicach miasta kilka kobiet, które prowadziły każda konia za sobą i przywiozły mleko do miasta. W samem mieście polskiej ludności prawie wcale niema. Są Brazyljanie, Niemcy i nieco Rusinów. Ci ostatni tu mają nawet budynek, który miał być szkołą średnią z antyreligijnem wychowaniem. Miała stanowić przeciwwagę do wpływów Bazyljańskich z Prudentopolis. Ale dziś stoi pusta. Polacy są w okolicy, na kolonjach, w lasach, w Cruz Machado, w Nova Galicia. Do miasta tylko przychodzą kupić i sprzedać. Poza tem stronią od miast. Mają wstręt do brukowanych ulic.

Na noc jedziemy dalej. Inteligentny, dowcipny Archanjo dalej nam towarzyszy. Ale i jemu zamarł dowcip, bo to noc, późna noc. Zimno. Ten i ów w wagonie kaszle. Jak kto może, otula się w płaszcz czy kawał koca i wyciąga się na ławach. Deszcz strugami spływa po szybach Przecinamy od północy na południe w poprzek cały stan S. Catharina. Robimy 26 km

na godzinę. Jest to bowiem pociąg pospieszny, który kursuje tylko we wtorki, czwartki i niedziele. Jest i pociąg osobowy, ale temu się już wcale nie spieszy i robi tylko 21 km na godzinę. Za to codziennie chodzi. Nadszedł dzień. Szary dzień, ponury dzień. Rio Caçador. Potem Rio das Antas. Słuchałem wołań konduktora półprzytomnie. Dopiero w Perdizes świadomość wróciła. Pociąg dłużej stał. Ruch się zrobił. Potem Pinheiro Preto, Rio Bonito, Bom Retiro, Herval, same lasy. Tu wszędzie są Polacy. Wreszcie słońce błysło w południe i zaraz uśmiechnęły się zielone lasy, błękitne niebo i fale rzeki, potężnej, wezbranej, huczącej. To Urugwaj. Przejeżdżamy ją. Za nią Marcelino Ramos.

A słońce jakgdyby zaświeciło tylko po to, by nam Urugwaj pokazać w pełnej krasie. Bo skoro tylko przyjechaliśmy do Marcelino Ramos, zaraz słońce zaszyło się za gęste zwały chmur. Lało niemiłosiernie. Na odjazd naszego pociągu czekać musieliśmy tu 6 godzin. W deszczu. Szczęście całe, że spływał po szybach wagonu, nie po nas.

Do Barro przybyliśmy o godzinie 10 wieczorem. Czekał na nas gwardjan, O. Justyn Girardi. Walizy nasze zabrał, wpakował na czyjeś plecy. Przeprowadził nas w deszczu, w ciemnościach, po błocie przez tor kolejowy, przez błotne ulice do klasztoru franciszkańskiego. Wszystko przygotował. Program rozpisał. W sile wieku. włoch z pochodzenia, jest synem emigranta, szkoły skończył u Franciszkanów, u nich nauczył się po niemiecku. Żywy, wesoły, wie o wszystkiem co się dzieje w powiecie, w stanie, w djecezji, w mieście i na kolonjach. Wszystkich zna, z wszystkimi ma relacje, z małymi i wielkimi. Rządzi Franciszkanami swojego klasztoru, rządzi i powiatem. Zarządził też misjami i znakomity zrobił rozkład. Zwróciliśmy się do niego pod dobrym adresem. Misje będą: w Treze de Maio, Rio do Peixe, Hortencia, Barro, Balisa, Tres Arroios a jest jeszcze w korespondencji z proboszczem z Boa Visa do Erechim. I ten chce mieć misje w Floresa, w Boa Visa do Erechim i jeszcze gdzieś. Wszędzie na misje

chętnie się zgadzano, z radością, termin przyjęto bez dyskusji. Znikąd nie nadeszła odpowiedziedź odmowna.

Treze de Maio.

W niedzielę 4 sierpnia zaczynaliśmy misje w Treze de Maio na sumie. X. proboszcz Jan Schmidt od ołtarza nam pobłogosławił i miał wstępną przemowę. Mówił z zapałem, ale nie wiele zrozumieliśmy z tego. Kościół był przepełniony. Mnóstwo ludzi było i poza kościołem. Nie mogli się wszyscy pomieścić. Zwłaszcza matki z małemi dziećmi już poza kościołem zostały i stamtąd słuchały nabożeństw i kazań. Z najdalszych zakątków, z głębokich lasów przyjechało wszystko Zapał dla misji był nieopisany. A dziwnem zrządzeniem Opatrzności pogoda nam sprzyjała cudna przez cały czas.

Kiedy w południe wychodziliśmy z kościoła, całe Treze de Maio było ruchu, w gwarze. W kościele kończą jeszcze śpiew „Anioł Pański“ a masy ludzl wysypują się z kościoła. Rojno pod kościołem jak w ulu. Na ulicach miasteczka we wszystkich kierunkach rozchodzą się ludzie. Czerwone chusteczki, zielone spodnie, żółte bluzki dziewcząt błyszczą w pełnem słońcu na tle czarnych lasów. Pod parkanem kościelnym czarne grupy mężczyzn stoją i chmury dymu z papierosów unoszą się nad nimi. Kościół na górce stoi. Jest drewniany, z pinjorowego drzewa, wcale obszerny. Budował go obecny X. proboszcz. Przed kilku laty go skończył. Z pod kościoła spoglądamy wdół, na ulice miasteczka, oczywiście niebrukowane, gdzie do płotów wzdłuż ulic przytroczone są konie z siodłami na grzbiecie, gdzie wozy stoją, gdzie rozchodzi się barwne mrowisko ludzkie. Patrzymy na wysokie ciemne pinjory, które sterczą na wzgórzach naokoło miasteczka i ramy stanowią dla tego obrazu.

Fala ludzka schodząc z tupetem po drewnianych schodach z kościoła przepływa obok nas, otacza nas. Witają się z nami. Widać, że chcieliby coś pomówić, a nie bardzo wiedzą, o czem. Rozmawiamy więc z wszystkimi, na wszystkie strony, o wszystkiem odrazu.

— „Jakże się macie“?

— A dzięku Bogu. Jakoś ta idzie. Mogłoby być lepiej.

— „Cóż to za zimę macie? Niby to połowa zimy, a tu słonko przypieka jak w lipcu w Polsce“.

— Ano, to już tak tu w tym kraju. Jest ciepło zawsze. Słońca dużo. Przy robocie człek się napoci galancie. Ale nocy są chłodne.

— „Ale śniegu niema“.

— A niema, Jegomość. Jeszcze my tu nie widzieli śniegu·

— „Skądże Wy jesteście?“

— My jeszcze z Europy, a ci to się już tu porodzili.

— Ale skąd z Europy?

Jednym chórem odpowiadają, ale każdy co innego. Ten z Lubelskiego, ten z Siedleckiego, a najwięcej z Płockiego.

— A wy też z Płockiego?

— Ju!

— A Wy też?

— Ju!

Jeden staruszek w parcianem ubraniu nisko się kłania, ze wzruszeniem opowiada, jak bardzo się cieszy, że doczekał się drugiej misji. Bo pierwszy raz był na misji, ale to już dawno, bardzo dawno w Radzyniu.

— „Ano, to lat 21 temu, prawda?“

— To jegomość tam był wtedy u nas? Coś mi się zaraz widziało, że to musi będzie ten sam. Ogromnie się ucieszył staruszek.

Widzę, że tam przy płocie szkrab mały, dziewczyna może 12-letnia, siada na koń i pędzi wdół. Pokazuję na nią.

— „To tu i dziewczęta jeżdżą na koniu? Gdzież ona jedzie teraz?

— A to moja córka, odzywa kobietka śmiejąc się. Tu każdy od małego do konia zwyczajny. Niema rady. Mus. Gdzieby tu inaczej przyjechał. Wszystko jedno. Kobiety i mężczyźni, małe chłopcy i dziewuchy. Wszystko na koniu jadzie. Wóz nie każdy ma. A wozem w deszczu, w błocie nie dojadzie.

— „Dokąd to ona jedzie? Przecież popołudniu są jeszcze nabożeństwa i kazania“.

— A to niedaleko. Tylko jedzie do kompadre, do kuma, o tam pod lasem. Ino tyle, żeby co nieco zjeść. A potem powróci.

— „Dobrze jeździ“.

— No, tak, galancie, jak każdy.

Wszyscy tu mówią: galancie, jadzie, ju, kupać i t. d.

A słuchajcie, a co to jest. Poco tamten młodzieniec ma czerwoną chusteczkę na szyi? I tamten też. Kilku ich widzę z czerwonemi chusteczkami.

To są rewolucjoniści. Jak była ostatnia rewolucja przed 5 laty, to oni należeli do rewolucji. Od tego czasu noszą czerwone chusteczki. Rewolucja niejednego zamordowała, wielu ograbiła. To były okropne czasy. Nie daj Boże, żeby to się miało wrócić. Parę kobiet łzy miało w oczach. Tej syna zamordowali, tamtej też, a owa męża straciła.

Owa dziewczyna, co na koniu odjeżdżała do kompadre, w tej chwili obok rewnianego budynku, stojącego na górce, skręciła w lewo.

— „Co to jest za dom, o ten, obok którego wasza córka przejeżdża“.

— To szkoła. Szkoła, ale nauki niema. Pusto stoi. Bo ten nauczyciel, nijaki Lisowski, bałamucił ludzi przeciwko księdzu i na wiarę wygadywał. To my dzieci odebrali. Nikt nie chodził do szkoły, to nauczyciel musiał się wynieść. Jest teraz w Talmeirze. Nową szkołę parafjalną otworzył p. Muszyński, tu, naprzeciwko plebanji.

— „A tu te wendy przy kościele do kogo należą?“

— Ta wenda zaraz z kraju, to jest żydowska.

— Żydowska?

— A żydowska. Dawniej nie było żydów wcale. Ale potem za Polakami tu się sprowadzili. Jest teraz 5 żydów, którzy mają wendy. A tamta niżej należy do Syryjczyka. A tam na dole wendę trzyma Brazyljanin.

— Bardzoście się ucieszyli, jakeście się dowiedzieli, że będą misje?

— Jakże by! Przecie my misji nigdy nie mieli. A ci, co z kraju jeszcze pamiętali misje, to jeszcze bardziej się ucieszyli. To widzi Jegomość. Nikt w domu nie ostał. Wszystko poszło dó kościoła. Nigdy my tu tyle narodu nie widzieli, co dziś. Zaraz ododnia wyjechali do kościoła.

— „To pewnieście głodni, co?"

— A juści. Nic my jeszcze dziś nie jedli.

— „No to idźcie co zjeść. My też pójdziemy. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus".

Na wieki wieków — razem głośno odpowiedzieli. Odeszliśmy z X. proboszczem na plebanję. A oni jeszcze stali w grupie jakeśmy ich zostawili i patrzeli za nami.

Zawsze tak zatrzymywaliśmy się z kolonistami w rozmowach pod kościołem, na drodze, w ich domach, aby przez bezpośrednią, niekrępowaną styczność z nimi łatwiej poznać ich nastroje i potrzeby, warunki lokalne często w każdej kolonji odrębne, ich ośmielić do siebie.

Czemu ta kolonja jest tak mało znana? Może dlatego, że odległa od drogi. Od Porto Alegre daleko, od Kurytyby jeszcze dalej. Nawet od stacji kolejowej Barro jeszcze 18 km drogi karkołomnej, przepaścistej po krawędziach górskich. A przecież jestto jedna z największych kolonij. Rzadko gdzie jak tutaj 620 rodzin zwartej wyłącznie polskiej ludności należy do jednej parafji. Wszystkie kolonje są rządowe i rozparcelowane zostały jedynie między Polaków. Tylko w samem miasteczku jest kilka rodzin syryjskich, brazylijskich, żydowskich. Opowiadają koloniści, że wśród nich są tacy, co mieli gospodarstwo w kraju, a inni, co byli fornalami w dworze. Ci pierwsi więcej szanują ziemię i lepiej umieją uprawiać.

Od początków kolonizacji zaraz istniała tu parafja. Obecnym proboszczem jest X. Jan Schmidt, niemiec z Hessen-Nassau, który przez parę lat był u Pallotynów w Małopolsce, ale języka polskiego słabo się wyuczył. Jest tu już od lat 18. Ale za dwoma zawodami. W międzyczasie (1916—1918) był

tu przez 2 lata X. Mięsopust z X. Gertnerem. Plebanja dzisiejsza jeszcze tak stoi, jak ją wybudował X. Mięsopust. Nie długo jednak byli Misjonarze. Z powodu awanturniczości kilku warcholskich elementów opuścili parafję. Za karę biskup zostawił parafję przez 2 lata bez księdza. Potem znów tu przyszedł X. Schmidt. Jak powiedziałem,-źle mówi po polsku, ale jakoś dogadzają sobie wzajemnie proboszcz i parafjanie. Żyje zresztą z nimi w kompletnej demokracji. Kto chce i kiedy chce, wchodzi do plebanji. Temi czy tamtemi drzwiami, do kancelarji, do jadalni czy do sypialni, wszystko jedno. Demokracja, jakiej w żadnej innej demokracji nie znajdziesz.

Łączność parafjalna jest wśród wiernych niezmiernie wyrobiona. Oddanie dla kościoła podziwienia godne. Dla kościoła oddzielili całą kolonję (25 hektarów) dziewiczego lasu z pięknemi drzewami harwowemi tuż obok plebanji. Ołtarz wielki własnym kosztem sprawił p. Młotkowski, jeden z najzasłużeńszych parafjan. Józef Kempa sam sprawił krzyż misyjny z drzewa gważuwirowego; nie chciał zgodzić się na składkę. Nowy kościół ze składek parafjan wybudował bez trudności X. proboszcz. Kiedy idzie o rzeczy dla kościoła, dla plebanji, dla księdza, wszystko idzie gładko. Obecnie chcą mieć koniecznie szkołę parafjalną, a w niej zakonnice. O koszta nie pytają. Prosili nas o to, byśmy zapośredniczyli. Owszem, dopomożemy im. Już napisaliśmy do Sióstr Rodziny Marji do Kurytyby i do X. Bronnego, żeby rzecz umówił. I mamy odpowiedź, że podejmują się. Za 4 miesiące tu zjadą definitywnie, by otworzyć szkołę i internat. To drobiazg, ale świadczy o usposobieniu. Żeby nas miał proboszcz czem ugościć, znosili na plebanję kurczaki, indyki, kaczki. Ktoś przywiózł nawet prosiaka. Jak pasterze do stajenki betlejemskiej.

Poza komitetem kościelnym, którego duszą jest wymieniony Młotkowski, pomocy wiele doznaje sprawa katolicka od nauczyciela. Gabrjela Muszyńskiego, który prowadzi szkołę parafjalną w domu wydzierżawionym. Niezwykle dystyngowany, wzorowy brał udział w misjach. Jest to człowiek, którego koleje na wychodźtwie są przedziwne i przeróżne. Był nau-

czycielem, robotnikiem, prestydygitadorem, dyrektorem trupy teatralnej w Brazylji i Argentynie, założycielem i kierownikiem polskiej szkoły średniej w Alfredo Chaves, obecnie majętnym rentjerem i na prośbę proboszcza, nauczycielem w szkółce tymczasowej. Czarujące są jego opowiadania z życia na wozie i pod wozem i naprawdę godne pióra epicznego. Byłyby dokumentem w dziejach emigracji.

Comissario p. Kazimierz Urban z Hrubieszowa, tutejszy naczelnik gminy i dyrektor policji, również przykładnie słuchał kazań, był u spowiedzi i przez kilka dni do Komunji św.

Wogóle nie brakowało nikogo. Wszystkich ogarnął jeden zapał i ożywiała jedna myśl. Mieliśmy pracę olbrzymią, bo przez tydzień cały dzień w dzień po 5 kazań, tak że każdy z nas 2 i 3 razy dziennie przemawiał, spowiedzi 2210, w których pomagał nam tylko X. proboszcz i 4560 Komunji św.

Nie obeszło się bez incydentów. Mężczyzna każdy uważa sobie, na wzór ganszów, za punkt honoru być zawsze uzbrojonym i nosić za pasem fak (nóż długi) i rewolwer. Każdy, i ten zamożny i ten, co boso chodzi. Na nabożeństwie, przy spowiedzi, przy Komunji św., kiedy klęknie, z pod krótkiej marynarki błyszczy mu lufa rewolweru. Przy lada sprzeczce ostatnim argumentem jest rewolwer. Samosądy są sprawą codzienną. Ta bliskość broni, pod ręką, jest prawdziwem nieszczęściem dla Brazyljan jak i dla Polaków. W wendzie tuż pod kościołem zdarzyła się sprzeczka między dwoma młodymi ludźmi. Nawet nie było słychać wielu słów a nagle odezwała się strzelanina rewolwerowa. Szczęście, że strzały chybiły.

Kiedy były kazania dla kobiet, chodziła z pobliża na wszystkie kazania i nabożeństwa pewna matka z córkami. Jedna z nich, 15-letnia Anna, z całą gorącością ducha przykładała się do sprawy Bożej a przejęła się do głębi swoją spowiedzią, bo, mówiła matce, chce się wyspowiadać tak, jakgdyby to była ostatnia jej spowiedź w życiu. We wtorek się wyspowiadała, w środę po Komunji św. przystąpiła. O godz. 11 wróciła do domu. Popołudniu o godz. 2 umarła.

W czwartek był pogrzeb. Cała parafja poszła na cmentarz. Wszyscy bowiem opowiadali sobie o dziwnem jej przeczuciu śmierci.

Koloniści o misji.

Wkrótce po zakończeniu misyj w Treze de Maio otrzymaliśmy pocztę a w niej gazetę „Lud" z Kurytyby, która przyniosla opis misyj ręką twardą kolonisty pisany. Może to będzie interesowało, jak koloniści w prostocie serca pojmowali misje.

Jak się odbywały święte misje w Treze de Maio de Erechim.

Dnia 4 sierpnia przybyli do naszej parafji zaproszeni XX. Misjonarze św. Wincentego a Paulo: X. Szymbor i X. Bieniasz, aby odprawić u nas misje, które miały trwać aż do 10 sierpnia. Cała parafja zakwitła jakby uśmiechami uprzejmości i radości. W ciągu tego tygodnia nie było żadnych przestępstw, nietylko ciężkich grzechów, ale nawet i małych. XX. Misjonarze rozporządzili, aby misja przez pierwsze trzy dni była dla kobiet i dziewcząt, w ostatnie zaś trzy dni dla mężczyzn i chłopców. W każdym dniu, tak dla kobiet jak i mężczyzn rozpoczynało się nabożeństwo o 7-mej z rana i kończyło się o 5-tej popołudniu.

W każdy dzień były trzy Mszy św. i trzy kazania do południa, a popołudniu nieszpory z wystawieniem Najśw. Sakramentu, Droga Krzyżowa i dwa kazania; a kazania i nauki były tak wzniosłe, były tak pouczające i rzewne, że podczas kazania słychać było tylko jęki, płaez i wzdychania.

Ustawienie krzyża misyjnego.

W ostatnim dniu odbyła się wspaniała uroczystość. W celu ustawienia olbrzymiego krzyża misyjnego, urządzono wielką procesję, w której wzięły udział tysiące wiernych, którzy na swych barkach nieśli ten ciężki Krzyż aż do przeznaczonego miejsca. Przybywszy na miejsce przeznaczone, mężczyźni

zrobili kordon, aby XX. Misjonarze mieli wolne miejsce do dalszej ceremonji kościelnej i poświęcenia Krzyża misyjnego. Misjonarze gdy ukończyli poświęcenie, uklękli trzy razy przed Krzyżem i ucałowali go. Tłumy zaś ludu rzuciły się na kolana przed świętym Krzyżem i zanosiły modły do Pana Boga. Przez cały ten czas świętych misyj kościół od rana do wieczora był przepełniony narodem a do spowiedzi i Komunji św. przystąpiło przeszło dwa tysiące osób. W ostatnim dniu misyjnym XX. Misjonarze pożegnali się z narodem, błogosławiąc im — upominali, aby nie zapomnieli o tej świętej misji i aby ten święty Krzyż misyjny ustawiony na placu kościelnym, stał się bliskim sercu każdej jednostki i aby wszystkim wspominał o miłości Boga i wierze potężnej.

Dnia 10 sierpnia popołudniu XX. Misjonarze odjechali od nas i udali się na kolonję Rio de Peixe, gdzie tak samo mieli odprawić misje i poświęcenie Krzyża misyjnego.

Misjonarze zwiedzają szkołę.

Zpowrotem dnia 23 sierpnia XX. Misjonarze odwiedzili naszą szkółkę parafjalną, w której zastali 51 dzieci uczęszczających do tejże szkółki.

XX. Misjonarze przeglądnęli kajety t. j. dyktanda, rachunki i kaligrafje tak polskie jak i brazylijskie. Prosili o rozwiązanie jednego rachunku, który w przeciągu trzech minut przez 36 uczniów był gotowy. Dzieci były jeszcze przepytywane z geografji i religji. Widocznie Misjonarze byli kontenci z uczniów, ponieważ częstowali dzieci karmelkami. O godzinie 3-ciej popołudniu odjechali kochani Misjonarze dalej w świat, aby głosić słowa Boże, uczyć kochać Boga, a bliźniego jak siebie samego.

Niech korespondencja moja będzie równocześnie podzięką dla wymienionych XX. Misjonarzy, których odwiedziny zachęciły nas do czynu i obudziły w każdym poczucie do miłości Boga i do wiary.



Z naszych Misyj w Ameryce Północnej.

Misja w Forest City, Pa w parafji Najsł. Serca Jezusowego od 6 do 16 września 1931 r.

Po letniej przerwie w domu misyjnym w Whitestone N. Y., pierwszą 10-dniową misję rozpoczęliśmy w Forest City, w kościele Najsł. Serca Jezusowego. Praca ta przypadła w udziale X. J. Czapli i niżej podpisanemu.

W sobotę rano 5 września b. r. wybraliśmy się do Scranton, Pa., uroczą linją kolei „Lackawanna". Na stacji zjawił się całkiem niespodziewanie p. Leon Regulski, właściciel polskiego zakładu przedmiotów kościelnych w Nowym Jorku. Oczekiwał umyślnie, by nas zabrać wygodnym samochodem do Forest City, gdzie przebywał na kilkudniowym odpoczynku. Oczywiście byliśmy mu niezmiernie wdzięczni, ponieważ oszczędził nam dwugodzinnego czekania na połączenie kolejowe. Po cudownej jeździe, drogą wijącą się jak wstęga wśród wspaniałych gór i lasów, przybyliśmy na miejsce przeznaczenia, przed zachodem słońca.

Miasto, a raczej miasteczko Forest City, około 30 mil na północ od Scranton, przedstawia się przepięknie. Położone wysoko wśród otaczających zewsząd lasów, jak sama nazwa wskazuje, jest naprawdę „Leśnem Miastem". Ludności posiada 5.209, w tem 90% katolików i przeważnie Słowian. Oprócz Polaków mają swoje parafje Słowacy, Słowieńcy

Rusini. Pozatem istnieje jeszcze parafja irlandzka i litewska. Nie brakuje zatem świątyń katolickich, a co ciekawsze, wszystkie stoją w pobliżu siebie. Kościoły słowacki, irlandzki i słoweński graniczą z sobą tylko o miedzę, polski oddziela ulica Jedynie kościół litewski i cerkiew grecko-katolicka są nieco oddalone.

Parafja polska powstała tutaj w roku 1904, jako trzecia z rzędu. Wspólnemi wysiłkami wymurowano kościół pod wezw. Najsł. Serca Jezusowego nie wielki wprawdzie, lecz za to bardzo piękny. W roku 1929, na przypadający srebrny jubileusz parafji, odnowił go naprawdę artystycznie H. Niemczyński, polski malarz z Long Island City N. Y. Ściany, ołtarze i figury wyglądają jak cacka. Gumowa podłoga, wzorowy porządek i czystość dopełniają harmonijnej całości. Koszta odmalowania w sumie $ 3.525, dzięki zabiegom X. Proboszcza i ofiarności parafjan, w krótkim czasie pokryto zupełnie. Obok kościoła stoi obszerna plebanja, budowana z drzewa. Pokoje wysokie i wygodne, ponadto są dwie wielkie werandy, z których odsłania się przecudny widok na lesiste wzgórza Pensylwanji.

Od r. 1921 prowadzi parafję X. proboszcz A. Halicki. Przyjął nas bardzo serdecznie i z prawdziwie polską gościnnością. W czasie dwutygodniowego pobytu na plebanji, przekonaliśmy się naocznie, że jest to kapłan pełen ducha Bożego, oddany całem sercem powierzonej parafji. Niestrudzoną gorliwością i pracą, przy pomocy oddanych parafjan, spłacił resztę długu w kwocie $ 13.000. Ponadto odnowił kościół i zaprowadził rozmaite ulepszenia, by świątynia Pańska godną była swego imienia. Obecnie trapi go największa troska, mianowicie otwarcie szkoły polskiej, zwiniętej czasowo, z braku odpowiedniego pomieszczenia.

W Forest City zamieszkuje 165 rodzin polskich. Mężczyźni pracują w zawodzie górniczym. Jedna z kopalń węgla znajduje się w pobliżu, dwie inne natomiast leżą dosyć daleko poza miastem. Oczywiście, jak wszędzie, tak i tutaj, ludzie odczuwają ogólne bezrobocie. Na stałą pracę liczyć

nie można, gdyż kopalnie zatrudniają górników dorywczo, stosownie do zapotrzebowania węgla twardego. Kobiety, a zwłaszcza dziewczęta nie mają również stałej pracy. Fabryka perkalowa i druga jedwabiu, pracują z przerwami nieraz bardzo długiemi. Jest jeszcze w mieście fabryka sukien damskich, lecz płaca, jak mnie zapewniano wynosi zaledwie dolara dziennie, co na tutejsze stosunki, naprawdę za mało. To też wiele dziewcząt wyjeżdza wczas rano do dalszych miast, gdzie zawsze znajdzie się jakiekolwiek zatrudnienie.

Misję św. rozpoczęliśmy w niedzielę 6 września b. r. na sumie. Według zapowiedzianego rozkładu, codziennie wieczorem o godz. 7 zaczynało się nabożeństwo. Po błogosławieństwie Najśw. Sakramentem. głosiliśmy kazania misyjne. Początkowe pięć wieczorów poświęciliśmy dla niewiast i panien, następne pięć mężczyznom i młodzieńcom. Pierwszą Mszę św., począwszy od trzeciego dnia misji aż do końca, odprawialiśmy o godz. 4·30, by pracujący mogli zdążyć do obowiązków. Następna Msza św. była zawsze o 8-mej i suma o 9 tej, która kończyła się kazaniem dla wszystkich wiernych. Codziennie popołudniu o 5-tej, zgromadzała się na nauki misyjne dziatwa szkolna. Spowiedzi słuchaliśmy co rano od godz. 7-mej i wieczorem po nabożeństwie.

W każdy wieczór, począwszy od niedzieli, prawie cały kościół zapełniał się niewiastami. Na nauki misyjne spieszyły chętnie i gromadnie przystępowały do Sakramentów św. Przed nabożeństwem według zwyczaju, śpiewaliśmy pieśni religijne i ogłaszaliśmy rozmaite zachęty, związane z misją sw. W środę. wypowiedzieliśmy kazania stanowe. X. Józef zabrał wszystkie dziewice do obszernej sali pod kościołem, ja natomiast w kościele utwierdzałem w powołaniu żony i matki. W następny dzień zakończyliśmy serję żeńską udzieleniem odpustu zupełnego i błogosławieństwa papieskiego.

W piątek wieczorem 11 września, zapełnił się kościół rodzajem męskim. Trzeba przyznać, że mężczyźni nie pozwolili zawstydzić się niewiastom. Aż miło było patrzeć, jak tłumnie garnęli się do świątyni na głos dzwonu. Przed zaczęciem

błogosławieństwa mieliśmy także codzienne uwagi i wspólny śpiew. Jedna z niewiast, kiedy jej powiedziałem, że mężczyźni też będą śpiewać, tak mi rzekła: „Ojcowie drodzy! narmordujecie się daremnie, bo ta już z naszych chłopów śpiewaków nie zrobicie“. Zrobimy — matko — zrobimy, zobaczycie — odparłem z przekonaniem, by rozwiać jej czarne myśli. Z początku, rzeczywiście ociągali się trochę. Uderzyliśmy jednak na męską dumę i natychmiast osiągnęliśmy świetny skutek. Jak wzięli się do śpiewu, to kobiety z zazdrością stwierdziły, że rozlegało się prawie w całem mieście. Przez dalsze cztery wieczory, zapał misyjny mężczyzn nie osłabł ani na chwilę. Kazań słuchali w wielkiem skupieniu i z budującą pobożnością garnęli się do Stołu Pańskiego. Był to objaw tem godniejszy uznania, że w sam raz w czasie misji męskiej nastąpiły szalone upały. Nawet w cieniu, gorączka przekraczała 95° Far. W poniedziałek wygłosiliśmy nauki stanowe. Pomimo huraganowej burzy z błyskawicami i piorunami, która rozpęłała się jakie 15 minut przed nabożeństwem, kościół wypełnił się ojcami i synami. X. Józef wyjaśniał mężczyznom pojęcie obowiązków, ja pod kościołem to samo wpajałem w młodzieńców. W następny wieczór zakończyła się misja męska, w ten sam sposób jak u niewiast.

Jeżeli chodzi o uczęszczanie na sumę misyjną, połączoną z kazaniem, śmiało można powiedzieć, że było niespodziewane. Każdy wolny od pracy, uważał sobie za obowiązek wysłuchać Mszy św. i nauki. To też nic dziwnego. że każdego dnia wszystkie ławki w kościele były zapełnione. We wtorek rano poświęciliśmy wodę św. Wincentego, której zabrakło w krótkim czasie. By zadośćuczynić napływającym życzeniom wiernych, święciliśmy wodę jeszcze drugi raz.

Misja dziatwy szkolnej, przeszła również bardzo przyjemnie. Podziwialiśmy, jak blisko 300 dzieci zaraz po lekcjach szkolnych, garnęło się na nauki misyjne. Zachowanie ich w kościele przez całe 10 dni, było naprawdę budujące. Słuchały z przejęciem głoszonych nauk i spowiadały się bez zarzutu, W dziesiątym dniu, skończyliśmy misję dziecięcą

uroczystem błogosławieństwem i przyjęciem do Cudownego Medalika.

W niedzielę 13 września b. r. w czasie sumy z wystawieniem Najśw. Sakramentu, urządziliśmy ofiarowanie całej parafji opiece Matki Najświętszej. Kościół wypełnił się wiernymi po brzegi. Po uroczystej Mszy św. i okolicznościowem kazaniu nastąpiła procesja po kościele, ze śpiewem Litanji loretańskiej. Później jeden z nas odczytał rzewny akt ofiarowania, którego wysłuchano ze łzami w oczach. Na zakończenie podniosłego nabożeństwa, lud odśpiewał jedną zwrotkę „Boże coś Polskę". Popołudniu, odbyło się błogosławieństwo niemowląt, a zarazem przyjęcie do Cudownego Medalika. Już godzinę przed czasem, matki z dziećmi zaczęły napływać do kościoła. Podczas nabożeństwa nie brakowało oczywiście różnorodnej muzyki, co mój towarzysz tłumaczył z zadowoleniem, że z tych latorośli wyrosną silni ludzie. Było tego drobiazgu około setki.

Środę 15 września jako jedenasty dzień misji, poświęciliśmy na wspólne zakończenie. Wieczorem o zwyczajnej porze, przy wystawieniu Najśw. Sakramentu, odmówiliśmy z ludem Litanję do Wszystkich Świętych. Po błogosławieństwie, nastąpiło uroczyste poświęcenie Krzyża misyjnego, ostatnie kazanie i adoracja. Ponieważ tłumy zaległy świątynię, przy adoracji krzyża musieliśmy ustanowić stały porządek, celem uniknięcia natłoku.

Nazajutrz odprawiliśmy Mszę św. żałobną z wigiljami za dusze zmarłych parafjan, by i one przez miłosierdzie Boże odniosły pociechę z misyj św.

Z tem nabożeństwem zakończyliśmy naszą pracę w kościele Najsł. Serca Jezusowego. Lud wzmocniony, pokrzepiony na duszy, powrócił do swych obowiązków i zajęć codziennych. My szczęśliwi i zadowoleni z dokonanego, dobrego dzieła wyjechaliśmy z Forest City na dalszą podróż misyjną.

X. Fr. Wójciak, C. M.



X. Dr. THEOL. STANISŁAW KALLA C. M.

Dwadzieścia pierwszych lat Domu chełmińskiego w świetle kroniki domowej (1676—1696)[1])

1. Powstanie i uposażenie domu. Ksiądz Superjor Godquin (1676—1680).

Dom chełmiński założył X. Jan Małachowski[2]) biskup chełmiński i pomezański[3]). Po naradzie z kapitułą[4]) i zwalczeniu trudności, pochodzących według kronikarza z zazdrości ludzkiej, sprowadził w r. 1676 XX. Misjonarzy do Chełmna oddając pod ich kierownictwo Seminarjum, powołane do życia przez X. biskupa Andrzeja Leszczyńskiego (1651), lecz nieczynne z powodu najazdu szwedzkiego. X. biskup Małachowski uposażył je w nowe dochody i nadał im lepszy ustrój. Misjonarzy przyjął nadzwyczaj serdecznie.

---

[1]) Diarium seu Acta Domus Culmensis Congregationis Missionis Connotari Coepta anno Christi 1676. Rkp. str. 593, z czego zapisane str. 1—310, zawierające właściwą kronikę; str. 320—324: Relatio Solennis Introductionis Canonisationis Sancti Vincentii a Paulo, Fundatoris Congregationis Missionis die 23 Julii, Sabatho ante dominicam 7-mam post Pentecostem peractae et festivissimi plausus sequenti triduo nempe praefata dominica Festo Sancti Jacobi Apostoli et Festo S. Annae Matris B. V. Mariae Culmae anno 1740 celebrati; str. 560—568: Regestrum Transactionum hoc volumine contentarum. Na karcie tytułowej napis: Thesaurus pretiosus. Diarium. Na karcie drugiej nie numerowanej: Series benefactorum Domus Culmensis huius Congregationis Missionis. Na trzeciej kartce nie numerowanej: Diarium seu Acta Domus Culmensis Congregationis Missionis Connotari coepta anno Christi 1676. Wysokość

Dom przeznaczony na seminarjum wygodnie urządził, zwalniając go za zgodą miasta od ciężarów publicznych. Dokupił nadto gruntu celem powiększenia domu i postawienia budynków gospodarczych. Kochał to nowe dzieło swoje nadzwyczajnie, często przyjeżdżał z pobliskiej swej siedziby letniej Starogardu[5]), biorąc udział w ćwiczeniach duchownych, w spólnym brewiarzu, medytacjach, rachunkach sumienia z budującą pobożnością.

Pierwszym superjorem domu chełmińskiego był X. Paweł Godquin, francuz rodem z Pikardji. Jemu to dał niebawem X. bp prepozyturę kaplicy Matki Boskiej Cudownej,

---

33 cm, oprawa w pergamin zielony, grzbiet i rogi w skórę brunatną. Stronice 311—319 i 325—559 niezapisane.

[2]) X. Biskup Jan Małachowski, od r. 1676 do 1681 biskup chełmiński, od 1681—1699 krakowski, stale otaczał Zgromadzenie niezwykłą życzliwością. Prócz Domu chełmińskiego ufundował on dwa domy Zgromadzenia w Krakowie, na Zamku i na Stradomiu. Piękne wspomnienie poświęca mu X. Franciszek Bączkowicz w pracy swej: „Z dziejów domu stradomskiego“, „Roczniki obydwóch Zgromadzeń“ r. 1912 str. 144-145.

[3]) W r. 1243 ziemie pruskie podzielono na trzy diecezje: pomezańską, warmińską i sambijską. Po pokoju toruńskim (1466) część diecezji pomezańskiej weszła w skład diecezji chełmińskiej. Odtąd biskupi chełmińscy nosili także tytuł biskupów pomezańskich, zwłaszcza, odkąd po zupełnem sprotestantyzowaniu diezecji pomezańskiej, zaopiekowali się garstką pozostałych z niej katolików. Por. Encyklopedja Kościelna t. III, str. 212 i nast.

[4]) Por. pracę X. Piusa Pawellka, zasłużonego redaktora Roczników Marjańskich, Roczników obydwóch Zgromadzeń i kalendarzy misjonarskich p. t. „Działalność Księży Misjonarzy domu wileńskiego w Wilnie i na Litwie w dawnej Rzeczypospolitej“ R. O. Z. rok 1926 str. 188, przyp. 3. Zgodę wyraziła kapituła na posiedzeniu 17 listopada 1676 r. Akt erekcji wydany został w Lubawie 8. I. 1677 r., a wpisany w księgi sądowe w Kowalewie w sobotę przed uroczystością Niepokalanego Poczęcia 1677.

[5]) Starogród letnia rezydencja biskupów chełmińskich, dana im na własność przez króla Aleksandra (1505), podobnie jak i miasta Chełmno i Chełmża, gdzie od r. 1251 była katedra biskupstwa chełmińskiego, leży o kilka kilometrów na południe od Chełmna. Zimową porą przebywali biskupi chełmińscy zwykle w Lubawie. Por. Encykl. Kość. t. III. str. 229 i nast.

przyległej do kościoła parafjalnego, na co chętnie się zgodził jej kolator, życzliwy dla Zgromadzenia burmistrz chełmiński, Andrzej Schmack, ustępując praw swoich wedle słów aktu na wieczne czasy i nieodwołalnie Zgromadzeniu.

Również, dla większej wygody i pożytku misjonarzy i seminarzystów, ażeby tak jedni jak i drudzy swobodnie mogli odbywać służbę Bożą, po rezygnacji X. Ludwika Strzesza, kanonika kapituły chełmińskiej, archiprezbitera i dziekana, przyłączył X. bp. parafję razem z godnością i obowiązkami dziekana do Zgromadzenia, przelewając prawa kolatorskie na osobę O. Generała.

Dochody seminarjum, wyznaczone przez X. bp. Leszczyńskiego okazały się za szczupłe, więc X. bp. Małachowski przyłączył do seminarjum parafję Fischow, położoną na Żuławie mniejszej. Proboszczem zamianował X. Godquin, a że ten jako rektor seminarjum i dziekan nie mógł rezydować w Fischowie, administrację parafji powierzono kapłanowi świeckiemu.

Nadto przeznaczył X. bp. dla seminarjum dziesięciny z dziesięciu przez innowierców zamieszkałych wiosek, nie należących do żadnej parafji, a przyległych do miejscowości Tyrgard. Dziesięcin tych jednak nie pobierano odrazu wskutek sprzeciwu proboszcza z Tyrgardu, skarżącego się, że jemu się zostawia ciężar duszpasterstwa owych wiosek, a wynagrodzenie za pracę biorą inni, a także dlatego, że wkrótce po przeznaczeniu tych dziesięcin dla seminarjum, beneficjum Tyrgarden otrzymał X bp. Tomasz Bogorja Skotnicki, sufragan chełmiński, wielki Zgromadzenia opiekun, obrońca, dobroczyńca. Obrażając go, powiada kronikarz, straciłoby Zgromadzenie więcej niż warte dziesięciny. W stosownym czasie postanowiono jednak o nie się upomnieć, gdyż jako należące do stołu biskupiego można je było bez pokrzywdzenia proboszcza pobierać, a za duszpasterstwo dać odpowiednie wynagrodzenie.

W r. 1680 przeniósł się fundator na biskupstwo krakowskie, gdzie także niebawem powierzył Zgromadzeniu kierownictwo seminarjum na Zamku, a następnie ufundowa

dom na Stradomiu dla misyj i ordynandów. Zasłużył sobie, powiada słusznie kronikarz, by nazawsze żył w sercach i wdzięcznej pamięci Misjonarzy.

2. Rządy X. Superjora Wilhelma Desdames (1680—1685)[1].

Po X. Godquin[2]), który w r. 1680 powołany został na Superjora Domu warszawskiego, objął rządy w Domu chełmińskim X. Wilhelm Desdames, jeden z pierwszych misjonarzy, wielce zasłużony zwłaszcza koło prowincji polskiej, mąż, powiada kronikarz, licznemi ozdobiony cnotami, który podczas najazdu szwedzkiego wiele ucierpiał w obronie Kościoła i majątku Zgromadzenia. O pracy swojej nie zostawił, bliższych szczegółów, koncentrowała się ona jednak głównie około podniesienia moralnego parafji.

Parafja była bardzo zaniedbana, pracowało przy niej tylko dwóch kapłanów, tak, że pomagać musiało duchowieństwo zakonne. Wśród parafjan krzewiły się liczne drożności, rozpowszechnione było zwłaszcza pijaństwo i zamiłowanie do zabaw, nieraz bardzo swawolnych. Nie znano prawd wiary wskutek zaniedbania nauki katechizmu Kosztowało niemało pracy i wysiłków nim nastąpił zwrot ku lepszemu, nim parafjanie, którzy woleli uczęszczać do kościołów zakonnych, pokochali znów swój kościół parafjalny. Ustalono przedewszystkiem porządek nabożeństw, zaprowadzono kazania i naukę katechizmową, odprawiono misje, do których sprowadzono konfratrów z Domu warszawskiego, odwiedzano parafjan po domach. Misje odbywały się również z wielkiem powodzeniem po okolicznych wioskach i miasteczkach. Skuteczną była także praca nad nawracaniem licznych w mieście luteranów i kalwinów.

X. Desdames poszedł w r. 1685 na przełożonego do

---

[1]) Cfr. Diarium... str. 4—7.

[2]) Piękną sylwetkę X. Godquin skreślił X. Pius Pawellek niestrudzony badacz historji Zgromadzenia, w wspomnianej już pracy. Por. R. O. Z. r. 1926 str. 187—201.

Krakowa na Zamek, w Chełmnie objął po nim rządy X. Jan Antoni Fabri[1]), patrycjusz rzymski, w październiku 1685 r.[2]).

3. Rządy X. Antoniego Fabri (1685—1696)[3]).

1) Instytucja kanoniczna na probostwo.

Ks. Desdames nie był instytuowany kanonicznie na probostwo chełmińskie. Powstały wskutek tego pewne trudności. Parafjanie nie chcieli go słuchać, gdy chodziło o restaurację kościoła, zarządzenia co do porządku, o prawa proboszczowskie, mówiąc, że nie będąc kanonicznie instytuowanym, nie jest prawdziwym archiprezbiterem. Z tych i innych ważnych przyczyn postarał się X. Fabri o instytucję kanoniczną, której po przezwyciężeniu licznych trudności dokonał w obecności X. bp. ordynarjusza Jana Kazimierza Opalińskiego (1681—1693) i proboszczów dekanatu zgromadzonych na zebranie, X. bp. Sufragan Tomasz Bogorja Skotnicki.

2) Prace i zabiegi około upiększenia kościoła, uzupełnienia sprzętu kościelnego i uporządkowania stosunków kościelno-parafjalnych.

Do usunięcia licznych przeszkód, jakie napotkał X. Fabri w staraniach swych o instytucję kanoniczną, nie mało się przyczyniła jego troskliwość o czystość i porządek w kościele[4]). Zastał pod tym względem pewne braki. Z wielką zapobiegliwością krzątał się około uzupełnienia sprzętu kościelnego, sprawił nowe antypendja, aparaty kościelne, wielką ilość bielizny kościelnej, dzwonki, dywany, świeczniki, lampę, krzyż, kobierce, chorągwie, baldachim do chorych, krzesła dla cele-

---

[1]) Był wizytatorem Zgromadzenia od r. 1714—1723 (por. Księga Pamiątkowa str. 77).

[2]) X. Desdames zmarł 2 stycznia 1692 r. w drodze do Warszawy na konwent prowincjonalny w wiosce Słupów. Pochowany został w katedrze na Wawelu przy kaplicy św. Tomasza (zwanej także kaplicą bp. Tomickiego) w nawie tylnej po prawej stronie. Por. X. Stanisław Wysocki, Seminarjum Zamkowe... str. 322.

[3]) Por. Diarium, str. 5—61.

[4]) Por. Diarium, str. 8.

bransa i asysty, fotel dla celebrausa w dnie uroczyste itd. Na skutek ciągłych próśb i nalegań kazał magistrat zbudować nowe stale na wzór dawniejszych.

Dla obrazu Cudownego sprawili Misjonarze głównie własnym kosztem nową srebrną sukienkę, poświęcając na ten cel za zgodą biskupa sufragana kilka srebrnych obrazów wiszących w kaplicy. Naprzeciw kaplicy zbudowano nowy organ kosztem organisty i rodziny Szmit. Przy pomocy bractw i ofiarnych ludzi upiększono ołtarze, sprawiając nowe kanony, świeczniki itd. Ponad kaplicą umieszczono kosztem Misjonarzy obraz przedstawiający Nawiedzenie Najświętszej Marji Panny. Także dwa inne obrazy, Zwiastowanie i Niepokalanie Poczęcie sprawili Misjonarze własnym kosztem, tzeci zaś, Narodzenie Pana Jezusa, częściowo własnym, częściowo kosztem artysty malarza.

Dawniejszą sukienkę Cudownego obrazu, pokrytą złotemi kwiatami, przyozdobiono obraz Matki Boskiej Szkaplerznej[1]).

Nie mniej zapobiegliwości i gorliwości poświęcił X. Farbi podniesieniu moralnemn parafji. Chodziło przedewszystkiem o to, by wszyscy byli do Komunji św. wielkanocnej. Chcąc mieć pod tym względem ewidencję, urządzono spis parafjan, a następnie polecono, by wszyscy przy Komunji św. oddawali odpowiednie kartki[2]).

Dla większego porządku i jednostajności w ceremonjach spisano zwyczajnik kościelny. Ponieważ misjonarze zastali tu pewne zwyczaje odbiegające od ogólnych reguł, zwrócili się do Ojca Generała z zapytaniem, czy mają się ich nadal trzymać. Otrzymali odpowiedź, by nic nie zmieniać, lecz zastosować się do istniejących zwyczajów[3]).

Śpiewakom na pogrzebach zwykł był płacić ks. prefekt kościoła, on też godził dla nich zapłatę. Ponieważ często były skargi, że wynagrodzenie zbyt małe i mogły powstać

---

[1]) Tamże, str. 6—8, 37—39.

[2]) Of. Diarium str. 8.

[3]) Ibidem str. 9.

podejrzenia, że misjonarze część zapłaty zatrzymują dla siebie, postanowiono, by sami się umawiali co do ich zapłaty pod pewną wszakże kontrolą dla zapobieżenia nadużyciom[1]).

W miejsce kościelnego i dzwonnika, przeznaczyli po tegoż śmierci do czuwania nad ogólnym porządkiem w kościele kolejno kleryków, by ich zaprawiać zawczasu do należytego utrzymania domu Bożego. Przy cięższych zaś robotach pomagała cała służba[2]). Dla Niemców w mieście i poza miastem miewali naukę klerycy seminarzyści. Ponieważ parafjan nie rozumiejących po polsku było bardzo mało, a przytem nie było w seminarjum kleryków niemców, postanowiono, by raz na miesiąc tylko i w niedzielę postu były kazania niemieckie. głoszone przez księdza[3]).

Plebanję niezamieszkałą wynajęto kilku staruszkom, by opuszczona nie uległa zniszczeniu. Ogród powiększono dokupieniem ogródka niejakiego Marzęckiego. Do ogródka należała łączka. Za zbierane z niej siano trzeba było płacić 40 groszy rocznie na rzecz szkoły chełmińskiej[4]).

Celem utrzymania w należytym stanie gruntu dookoła plebanji, zburzono jeden z znajdujących się domków tam bardzo zniszczony i wybudowano nowy, wygodniejszy, o dwóch pokojach, z zamiarem przeznaczenia jednego z nich na szkołę żeńską[5]).

Zaopiekowano się także i licznymi ubogimi w parafji tak w mieście jak i poza niem, dostarczając im w miarę możności wiktuałów lub pieniędzy[6]).

Mimo szczupłej liczby pracowników nie zaniedbano i pracy misyjnej tak w miastach jak i po wsiach, przeznaczając na to czas, w którym przypadało kilka świąt razem[7]).

---

1) Ibidem str. 9.
2) Ibidem str. 10.
3) Ibidem str. 10.
4) Ibidem str. 11.
5) Ibidem str. 11.
6) Vid. Diarium, str. 11—42.
7) Ibidem str. 12.

Wprowadzono w kościele zwyczaj wspólnego odmawiania pacierzy, Modlitwy Pańskiej, Pozdrowienia Anielskiego, Składu Apostolskiego, Dziesięciorga Przykazań, uczono pieśni pobożnych[1]).

Wskutek zwiększenia się liczby uczęszczających częściej do spowiedzi i Komunji św., stale zasiadało w niedziele i święta dwóch kapłanów w konfesjonale[2]).

Gorliwie się także zajął X. Fabri[3]) ostatecznem przeprowadzeniem unji Kościoła z seminarjum. Kapituła z początku na nią chętnie się zgodziła, później jednak stawiała trudności i akt unji razem z aktem fundacyjnym zatrzymała w archiwum kapitulnem. Spełnienie prośby X. Fabri'ego o ostateczne uregulowanie sprawy uzależniła kapituła od przyjęcia pewnych warunków, między innemi mieli misjonarze wychować 10 seminarzystów, misjonarzy miało być 6, dwóch z pośród seminarzystów miało odbywać studja filozofji i teologji na koszt seminarjum, poza niem przyjmować miano kandydatów tylko za zgodą kapituły, wreszcie misjonarze mieli się sami postarać o zatwierdzenie unji przez Stolicę Apostolską. X. Fabri przyjął pierwszy i drugi warunek. Co do trzeciego oświadczył że ze względu na szczupłe dochody spełnić go nie można a zresztą diecezja wieleby z tego pożytku nie miała, gdyż jak doświadczenie uczy, ci, którzy u OO. Jezuitów studjowali teologję i filozofję, mają zbyt wielkie o sobie wyobrażenie i lekceważą teologję moralną. Diecezji zaś potrzeba jak najprędzej dobrych kaznodziei, katechistów, spowiedników, administratorów innych sakramentów, a takimi stać się mogą seminarzyści już po rocznym lub dwuletnim pobycie w seminarjum. Kiedy będzie dostateczna ilość księży i profesorów, to zaprowadzone będą w seminarjum i rozszerzone wykłady teologji i filozofji, podobnie jak w Warszawie. W sprawie przyjęć kandydatów przypomniał X. Fabri, że X. biskup sobie

---

[1]) Ibidem str. 18.

[2]) Ibidem str. 12.

[3]) Ibidem str. 12—14.

[4]) X. Pius Pawellek, Działalność XX. Misjonarzy Domu Wileńskiego.

tylko i sufraganowi zastrzegł potwierdzenie lub odrzucenie zgłoszonych. Wskutek starań X. Wizytatora Tarły, przy poparciu X. Rostkowskiego, kustosza i opata mogilskiego, kapituła wreszcie ustąpiła, wydając dokument unijny razem z fundacyjnym.

4. Stosunek do zakonów.

Ze strony osiadłych od dawna (w w. 13) w mieście dominikanów i franciszkanów spotkało misjonarzy niemało przykrości. Zwłaszcza ci ostatni nie szczędzili im nawet z ambony złośliwych uwag i docinków. Gdy wszelkie inne sposoby zaradzenia złemu i zgorszeniu nie pomogły, udali się misjonarze ze skargą do X. biskupa sufragana. Winowajców spotkała dotkliwa kara. Pod groźbą ekskomuniki zabroniono im głoszenia kazań, dopóki się nie usprawiedliwią przed X. biskupem i nie dadzą misjonarzom satysfakcji, co też wobec grona wybitnych obywateli uczynili[1]).

5. Szkoła chełmińska.

Wielką pieczołowitością otoczył X. Fabri szkołę chełmińską, której jako superjor był przełożonym[2]). Ponieważ rozwojowi szkoły stał na przeszkodzie brak funduszów, więc stara się usilnie o zwiększenie dochodów z posiadłości należących do szkoły. Szkoła posiadała 40 włók ziemi we wsiach Gogolin i Szteinwag[3]). X. Fabri dąży do tego, by przez meljorację gruntu jak i przez wydzierżawienie go na lepszych

---

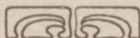
[1]) Diarium str. 12—13.

[2]) Szkoła miejska, zwana także akademją chełmińską, przechodziła różne koleje W r. 1386 wielki mistrz krzyżacki Konrad Zollner postarał się u Urbana VI o pozwolenie na założenie uniwersytetu (studjum generale) w Chełmnie, na wzór Bolońskiego uniwersytetu. Dla braku funduszów zapewne, do utworzenia uniwersytetu nie doszło. Szkoła utrzymywała się zwykle na poziomie szkoły średniej. Brak funduszów był główną przeszkodą do jej rozwoju. Por. X. Dr Tadeusz Glemma, Historjografia diecezji chełmińskiej aż po r. 1821 w Nova Polonia Sacra, Kraków 1926, str. 119—120. X. Pius Pawellek, Działalność XX. Misjonarzy Domu Wileńskiego.

[3]) Włóka lub łan chełmiński wynosił około 30 morgów.

dla szkoły warunkach, pomnożyć dochody. Zabiegi te zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. Zamiast dotychczasowych 500 do 600 florenów wynosi niebawem dochód z samego Gogolina z zajazdu i browaru 1.700 florenów, a po przeprowadzeniu meljoracji w Steinwagu spodziewano się osiągnąć kwotę znacznie przewyższającą 2.000 florenów[1]). Zwiększonych dochodów używa X. Fabri częściowo na powiększenie kapeli przy kościele archiprezbiterjalnym, głównie jednak na podniesienie szkoły. Odtąd już obywatele nie byli zmuszeni wysyłać swych synów do Torunia, Bydgoszczy lub Grudziądza, a z drugiej strony napływ młodzieży z okolicy otworzył dla nich nowe źródło dochodów. X. Fabri stara się pozyskać jakiegoś wybitniejszego profesora, któryby uczył poetyki i gramatyki. Z pierwszym nie było szczęścia. Ledwie po długich staraniach zawitał, wzgardził — powiada kronikarz — miastem i obywatelami, zażądał 120 florenów za drogę i odjechał. Zwrócił się więc X. Fabri do Krakowa do konfratrów. X. Delpacy, Superjor Seminarjum na Zamku, przysłał wówczas X. Gorczyckiego, absolwenta Akademji Pragskiej i profesora(!) Seminarjum w Krakowie, który zobowiązał się uczyć poetyki i retoryki przez dwa lata za utrzymanie i 380 florenów rocznie. Profesor gramatyki i syntaksy pobierał poza utrzymaniem 100 florenów. Profesorem najniższej klasy był jeden z kleryków z płacą 50 florenów rocznie i wiktem[2]).

(Ciąg dalszy nastąpi).





Rozporządzenia Stolicy św.

1) Facultas data Visitatoribus subdelegandi parochos ad pias Associationes Filiarum Mariae a. S. Numismate in suis parochiis erigendas.

„Franciscus Verdier, Superior Generalis Congregationis Missionis et Instituti Puellarum Caritatis, ad pedes Sanctitatis Vestrae provolutus, humillime rogat ut, in memoriam centenariae celebrationis Manifestationis B. M. V. a Sacro Numismate, quae per totum orbem, miris modis, in omnibus populis ferventem pietatem erga Ipsam B. Virginem a Sacro Numismate excitavit, Sanctitas Vestra benigne concedere dignetur Visitatoribus Congregationis Missionis tamquam a Superiore Generali deputatis, quod iam concessum fuit per resciptum S. C. Concilii die 6 aprilis 1914, Visitatori eiusdem Congregationis in Insulis Philippinis, facultatem scilicet Parochos subdelegandi ad piam Associationem Filiarum Mariae Immaculatae a Sacro Numismate in suis paroeciis instituendi sub iisdem regulis et statutis ac illae quae in domibus Puellarum Caritatis eriguntur, designando earum Domum primariam Parisiis, ubi Manifestatio sacri Numismatis locum habuit, velut centrum omnium Associationum erigendarum.

Sacra Congregatio Concilii, attentis expositis, benigne indulget pro gratia iuxta preces, de consensu tamen respectivorum Ordinariorum, ad quinquennium.

Datum Romae, die 25 martii 1931.

J. Card. Serafini, praefectus
J. Bruno, secretarius.

2) Potwierdzenie procesu de non cultu Sługi Bożego Piotra R. Rogue, umęczonego za wiarę św. podczas rewolucji francuskiej, nastąpiło 4 maja 1931.

3) Dnia 19 listopada 1930 potwierdzono proces de non cultu Sługi Bożego Feliksa de Andreis, apostoła w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

4) Dnia 19 lipca 1931 w uroczystość św. Wincentego a Paulo, nastąpiło odczytanie dekretu o heroiczności cnót Wielebnej Siostry Katarzyny Labouré. (Przepiękny ten akt pomieszczą przyszłe numery Roczników).

5) Kongregacja św. Propagandy zamianowała 25 marca 1931 X. Józefa Chow ze Zgromadzenia XX. Misjonarzy wikarjuszem apostolskim Paotingfu. Wikarjat apostolski Paotingfu przejęło świeckie duchowieństwo. Jestto jeden z najżywotniejszych wikarjatów ap. Chin.

6) X. biskup Paweł Dumond, dotychczasowy wikarjusz apostolski Kanchow, przeniesiony został do Nanchang. X. biskup O'Shea, dotychczasowy sufragan wikarjusza apostolskiego X. biskupa Dumond, mianowany został wikarjuszem apostolskim w Kanchow, a zatem amerykańscy XX. Misjonarze już samodzielnie prowadzą swoją Misję w Chinach.

7) W październiku 1931 r. polskie Siostry Miłosierdzia warszawskiej prowincji wyjechały na misje do Chin.

